№ 2 Warszawa, dnia 29 Grudnia (10 Stycznia) roku 1879|80.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart w miejscu złr 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

POGADANKA.

Karnawał rozpoczął już swoje panowanie. Stroje piękne a wiotkie niby mgła poranna, gotują się już do balowych tryumfów, przy dźwiękach upajającego walca i odgłosie dziarskich chołupców mazura.

Bodajto młodość! Ma prawa i pragnienia, jak wiosna kwiaty, słońce i powaby; młodości tak mało potrzeba do szczęścia, czemużby więc nie szła za głosem serca rwącego się do tańca, uciech i zabawy?...

Bawcie się zatem i spieszcie, bo karnawał w tym roku krótki, bardzo krótki... przy najlepszych chęciach może zabraknąć czasu na związanie stułą białych rączek i zanucenia „*Veni Creator*".

A zaprawdę mieliśmy tych zabaw i rozrywek nie mało a i nadal zdaje się, że nie zbraknie ich wcale...

W Saskim ogrodzie i w Łazienkach, a nawet przy Oboźnej ulicy, na szklistej powierzchni lodowej uwijają się amatorowie i amatorki ślizgawki, niby gracye i nimfy w zgrabnych i pełnych powabu pląsach. Zabawka ta rozszerza się u nas coraz bardziej, i można ją tylko zachwalać, tem więcej, że bardzo pożytecznie wpływa na rozwój sił fizycznych młodych swoich adeptów, chociaż i starszych nie brakuje jej wcale...

W resursach Kupieckiej i Obywatelskiej rozbrzmiewały przeróżne koncerta, a obecnie odbył się w tej ostatniej bal, z którego dochód przeznaczono na cel dobroczynny.

Na „bazarze" w Salach redutowych snuły się przez cztery dni tłumy widzów i kupujących. Przygrywał tam ochoczo niezmordowany Sonnenfeld, a przy stosach pięknych cacek i świecidełek (gromadził się dla biednych starców i kalek niemały fundusik na zapomogę. Śliczna zabawka!...

Wspomniawszy o bazarze, na którym „kupczyła" także artystka „dwóch światów" p. Modrzejewska, dodać należy, że w teatrze tryumfuje ciągle, zbierając laury i... krytyki, a w ostatnich kilku dniach podzieliła się uwielbieniem widzów z panią Sembich Kochańską, primadonną opery drezdeńskiej, w której (naturalnie, nie w operze) uznano powszechnie *najpierwszą* polską, a bodaj, czy nawet nie europejską śpiewaczkę... Fakt ten obok drugiego o którem doniosło „Echo" w korespondencyi z Paryża, że Mierzwiński czaruje francuzów swym śpiewem w Wielkiej Operze, wykazuje dostatecznie, że Polacy mają w swem społeczeństwie najznakomitsze siły artystyczne, tylko, niestety, porozrzucane po całym świecie, według... zwyczaju! Na poparcie tego twierdzenia dodać można, że i panna Reszkie, Polka, zachwyca Hiszpanów w Madrycie, wraz z dwoma swymi braćmi, również niezrównanymi śpiewakami. Ktoby te wszystkie nasze znakomitości ze spolił w jedno ognisko, naprzykład w Warszawie, dokazałby ósmego cudu świata. Miejmy jednak nadzieję, że i to z czasem nastąpi. Dlaczegóżby nie? Wszak w Ameryce kolej „żelazna" jeździ na „papierowych" kołach, ludzie rozmawiają się i słuchają oper telefonami na 40 mil odległości, a z masy papierowej wyrabiają wszelkie naczynia, meble i całe domy budują... Nie traćmy nadziei...

Sale redutowe oczekują z niecierpliwością na wkroczenie zgrabnych, a dowcipnych maseczek, które będą według poety:

„Farby, blaski i cienie rozwijać w polocie,
I hucznо, żwawo, zwinno rzucać się w obrocie"...

Obok tego, w teatrze przygotowują prawdziwą ucztę artystyczną, bo „*Kleopatrę*" Szekspira i „*Dla honoru domu*" p. Rapackiego.

Natomiast umowę z p. Modrzejewską przedłużono na dalsze 10 przedstawień, a także zapowiedziano przybycie *włoskiej opery*, w której składzie, niestety nie dostrzegliśmy wcale nawet drugorzędnych gwiazd horyzontu artystycznego, a w takim razie, nie rozumiemy po co ją było tak gwałtem sprowadzać. Słychać również że dzielny nasz kompozytor p. Żeleński, powróciwszy z Krakowa, gdzie koncert jego udał się wyśmienicie, krząta się i zamyśla urządzić u nas jeszcze jeden wieczór muzyczny, złożony z własnych przepysznych utworów, dalej, że tu i owdzie przygotowują zabawy w malowniczych krakowskich strojach, a więc, że szyją już nowe urocze kostiumy krakowianek, czerwone rogatki, białe i niebieskie sukmanki z pod krakowskich okolic; że wreszcie w Saskim ogrodzie zaprojektowano częściowe zniesienie i przerobienie kolumnady u wejścia od Saskiego placu, aby tym sposobem odsłonić widok na wodotrysk i otaczające go klomby. Dolne filary miałyby zostać, górne zaś przeistoczą na żelazne saloniki w których mieściłyby się letnie kawiarnie, mleczarnie i tym podobne gastronomiczne zakładziki. Tak opiewa projekt, apochwalić go nie można,gdyż prawdopodobnie i piękna kolumnada ulegnie zniszczeniu i widoku nie odsłoni całkowicie.

Natomiast z prawdziwą radością powitać się godzi inny projekt, a mianowicie: urządzenia przy jednym z większych szpitali warszawskich „Szkoły pielęgnowania chorych" w której kobiety bez różnicy wyznania, wieku i stanu, mają się obznajmiać przy pomocy lekarzy ze sposobami pielęgnacyi chorych. Siostry Miłosierdzia, pełniące dotychczas tę opiekę, nie wszędzie i nie zawsze mogą się znajdować, szczególniej zaś na prowincyi, to też wprowadzenie tego projektu ze sfery obiecanek w wykonanie, byłoby gorąco pożądane.

A kiedy już mowa o samych projektach, trzeba koniecznie nadmienić jeszcze o dwóch innych.

Oto jedno z pism doniosło że na przyszłe lato właściciel wsi Żerań nad Wisłą, wprost Bielan po-

łożonej, zamierza wystawić szereg miniaturowych villi, z oddzielnemi ogródkami i wszelkiemi wygodami, i zapewnioną na każde zawołanie komunikacyą z Warszawą.

Drugi zaś projekt dotyczy założenia „Kasy przezorności i pomocy“ dla nauczycieli i nauczycielek prywatnych, których, wiadoma rzecz, jak częstokroć los jest bardzo opłakany. Projekt ten czeka na zatwierdzenie władz, a bodaj niedługo nań czekał...

A teraz dzisiejszą gawędę zakończam życzeniami noworocznemi, nie wspomniawszy i słówka że panna Deryng „uciekłszy“ (tak utrzymują złośliwi) przed panią Modrzejowską do Pragi (nie *na Pragę*), bardzo dobrze wyszła na tej dezercyi, gdyż bracia Słowianie nie mogą się nachwalić „tragedki polskich divadel“, a omal, że dłonie im nie popuchły od oklasków a w Pradze i okolicy kwiatów nie zabrakło na wieńce dla naszej pięknej i znakomitej artystki.

Pominę także i to, że miasto nasze w roku przyszłym dobrzeby zrobiło objąwszy na siebie przy nadarzonej sposobności, fabrykę gazu od towarzystwa dessauskiego, gdyż mielibyśmy wówczas błogą nadzieję, że latarnie gazowe jaśniej i czyściej zapłonęłyby, albowiem wiadomo, że „oko pańskie konia tuczy“, a więc i chudy płomień możeby trochę utył i zgrubiał pod okiem samego miasta.

Nie mogę także słówka bąknąć o ślicznej nowelce Litwosa (Sienkiewicza) zatytułowanéj „Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela“, a pomieszczonéj w Niwie, która szarpie za serce i łzy z oczów wyciska opowiadając dolę przyszłego dziecka, które zabija germańska pedanterya a zwłaszcza przymus uczenia się w obcym języku.

Nie zapytam nawet o to, dlaczego w Krakowie i w ogóle w Galicyi żadne pismo utrzymać się nie może; dla czego każde wyszedłszy natychmiast upada.

Nie mogę też podziękować znanej z dobroczynności Warszawie i prowincyi, za szczodre ofiary wniesione dotychczas na korzyść biednych a mrących z głodu i zimna Szlązaków, ani też oznajmić zarazem, że tego wszystkiego jeszcze za mało, bo nędza tam bardzo wielka i nader groźne przybrała rozmiary.

A nawet, nawet nie uronię ani jednej łzy nad ciężką tegoroczną zimą, którą pamiętać będą długo nietylko mieszkańcy Warszawy, ale Wenecyi, Francyi i Paryża, gdzie zima sroży się bezprzykładnie, a Ren, który od 20 lat płynął sobie spokojnie czy zimą, czy latem, zamarzł obecnie od Moguncyi i rzekę tę po lodzie teraz przebywają wozami...

Od Konsulatu Jeneralnego Cesarsko-Niemieckiego w Warszawie, otrzymujemy następujące ogłoszenie:

Cesarsko-Niemiecki Konsulat Jeneralny w Warszawie, będąc upoważniony do przyjmowania składek i ofiar na rzecz głodem dotkniętej ludności Górnego Szląska, zawiadamia niniejszem, iż z całą skrupulatnością pośredniczyć będzie w spełnieniu zacnych chęci ofiarodawców, przesyłając pod adresem wskazanych przez nich komitetów, tak w naturze, jak w gotowiznie ofiary, które wprost do Konsulatu wpłyną, lub też za pośrednictwem redakcyi pism warszawskich zostaną tamże złożone.

Warszawa dnia 13 grudnia 1879 r.

Cesarsko-Niemiecki Konsulat Jeneralny.

* * *

Podając powyższą odezwę Cesarsko-Niemieckiego Konsulatu Jeneralnego do wszystkich dzienników warszawskich przesłaną, zwracamy na jej osnowę uwagę naszych czytelników. Konsulat jeneralny podejmuje się *pośrednictwa* w przesyłaniu ofiar do *wskazanych* przez ofiarodawców komitetów, poręczając za *całą swoję skrupulatność* w tem pośrednictwie. Znając ścisłość władz administracyjnych niemieckich, w wykonywaniu zobowiązań w tym kierunku względem publiczności zaciągniętych, możemy mieć pewność, że ofiary w pieniądzach, czy w naturze przesłane, naprzykład do komitetu Miarki, z pewnością dojdą do zamierzonego celu; toż samo z innemi komitetami, gdyby do nich ktoś chciał dary przesłać.

Dlatego też redakcye dzienników warszawskich chętnie przyjmując pozostawione im współdziałanie, otwierają niniejszem swoje szpalty na wymienienie nazwisk i ofiar tych wszystkich, którzy pospieszą ze wsparciem dla dotkniętych okropną nędzą głodu Szlązaków.

Straszna donioslość tej klęski znana już jest czytelnikom z korespondencyi, które wszystkie pisma tutejsze drukowały. Szybki i skuteczny ratunek jest niezbędny.

PIEŚŃ NA FALI.

(powitanie 1880 roku).

Fale życia wartko płyną,
Lepsze chwile prędko miną,
Potok niesie nas...
A choć potok ciągle płynie,
Na potoku wszystko ginie,
Wszystko chłonie czas...

Ach! na chwiejnem tle istnienia,
Rzeczywistość wciąż się zmienia,
Zmienia kształt i treść...
Co dziś działa, wzrusza, bawi,
Wprędce ledwo pozostawi
Jakąś głuchą wieść...

Przeszłość mierzchnie jak złudzenie,
A obecność, jak widzenie,
Z każdą chwilą mknie...
Zbiegła chwila jest już fraszką,
A bieg chwili, czczą igraszką
W zagadkowym śnie...

Przyszłość tylko wabi stale...
Co nam jednak szle w udziale
Kryje ciemny mrok.
Jedna pewność nie zawodzi,
Że do końca, co wdół schodzi,
Zbliża każdy krok...

Marność świata, prawem świata,
Co jak fatum nas oplata
I popycha w dal...
Pomysł, utwor i czyn wszelki,
Mierny, zwykły, czy też wielki
Budzą tęskny żal...

Żal, że nic się nie ostoi,
Co na mknącej fali stoi
I z nią dąży w wir.
W wir wiecznego przekształcenia,
Gdzie śmierć w życie się zamienia
Tęcza spycha kir...

Mniejsza o to, przyjaciele,
Jak tam długo i jak wiele
Trzeba płynąć nam;
Gdy płyniemy, płyńmyż dzielnie,
Z świadomością, samodzielnie
Mimo wszelkich tam...

Krótki byt nasz śród wieczności,
Jest tem prawem konieczności
Co odświeża byt...
Więc choć potok nas unosi,
Niech się praca nasza wznosi
Po możebny szczyt...

Fala chłonie, my pracujmy,
Czas niweczy, my budujmy,
Dziś nasz wielki dzień...
Z takiej walki iskra błyska,
Co w potomność światło ciska...
Walka, bytu rdzeń...

Walczmyż tedy, jak przystoi
Na walecznych co bez zbroi
Idą śmiało w bój...
W cześć tej walki z konieczności,
I w cześć pracy dla przyszłości
Wznoszę puhar mój!...

Dr. Rudolf Rożniatowski.

EUGENIA LAWAL.

powieść z życia społeczeństwa francuzkiego

napisana oryginalnie

przez

Kazimierza Gregorowicza.

(Dalszy ciąg).

Pani Lucas była szczęśliwą w całem znaczeniu tego wyrazu.

Chłodnego usposobienia, niezdolna do uniesień, nie była narażoną nigdy na wewnętrzne walki serca; strzegąc się przytem z zasady wszelkiego poruszenia moralnego, jako wielce szkodliwego dla organizmu ciała.

Z wiekiem wykształciła tak dalece samolubstwo, że największe nawet nieszczęścia dotykające jéj krewnych lub przyjaciół, nie czyniły na niej najmniejszego wrażenia.

Dla kobiety tego rodzaju, myśl o śmierci była prawdziwem udręczeniem. Oddałaby chętnie połowę majątku, za wykrycie sekretu, dającego możność przedłużenia doczesnego żywota do nieskończoności. Skoro jednak znalezienie kamienia filozoficznego, napotkało dotychczas nieprzezwyciężone przeszkody pani Lucas starała się przedewszystkiem złagodzić samą nazwę.

Śmierć wedle nauki Kościoła jest tylko przejściem do lepszego żywota.

Wychodząc z tej zasady, dla oznaczenia ostatniej chwili, przyjęła wyrażenie przenośne mówiąc: skoro pójdę do nieba.

Należało jednak zasłużyć na pobyt, w miejscu wiecznego szczęścia.

W tym celu nie zaniedbała wszelkich zewnętrznych objawów, mogących zapewnić zbawienie. Spędzała parę godzin w kościele na modlitwie; w piątek stale oznaczoną kwotkę pieniędzy rozdawała ubogim; w sobotę zaś po południu wykonywała inne uczynki miłosierne: już to odwiedzając chorych w szpitalach, już to jadąc w powozie za pogrzebami osób, po większej części nieznanych, aby tylko uczynić zadosyć przepisowi Kościoła nakazującemu grzebanie umarłych. W spełnianiu jednak tych uczynków, nie było najmniejszej iskierki miłości bliźniego. Chorym zadawała bez myśli jedne i te same zapytania, wedle formuły ułożonej od wielu lat; w czasie zaś pogrzebów, nieraz jej wyobraźnia zaję-

tą była, ułożeniem spisu potraw na dzień następny. Płacz osób osieroconych nie odbierał jej tyle koniecznego spokoju, dla ułożenia obiadu wedle zasad gastronomii i higieny.

Biedna więc panienka znalazła się niespodzianie w obcym domu pod wpływem tak różnym od dawniejszego. Wrodzone jednak przymioty serca, jakoteż przykłady zaczerpnięte z życia ojca, ochroniły ją od rozwoju brzydkiego samolubstwa.

W innych jednak względach, wpływ pani Lucas na Eugenią był nader zbawiennym. Rozwijała ona w swej wychowanicy przymioty niepospolitej wagi: jak czystość, porządek, oszczędność i poczucie godności niewieściej.

Umysł i serce Eugenii naginały się łatwo do wszelkiego dobra i piękna; rady więc i wskazówki pani Lucas, były starannie wprowadzane w wykonanie. Okoliczność ta sprawiała wiele przyjemności opiekunce coraz bardziej nie powiemy przywiązującej się, bo ona nie mogła kochać nikogo więcej prócz siebie, ale coraz więcej przyzwyczajającej się do biednej sieroty, tak że rozstanie się z takową sprawiłoby jej bardzo wiele przykrości.

Pani Lucas, wedle zwyczaju przyjętego we Francyi, chcąc rozwinąć w swej wychowanicy przymiot oszczędności, kazała jej składać drobne sumki do kassy na ten cel ustanowionej.

Eugenia dopełniała ściśle zlecenia, nie myśląc wcale o naruszeniu odłożonych pieniędzy.

Zaszła jednak okoliczność nadzwyczajna.

Jedna z jej koleżanek i przyjaciółek znalazła się w smutnem położeniu, z powodu śmierci rodziców; bohaterka nasza przeto nie namyślając się wiele, odebrała całą kwotę z kasy, oddając ją do wolnego rozporządzenia osieroconej panience.

Pani Lucas powziąwszy wiadomość o tem zdarzeniu, oburzoną była nadzwyczajnie. Pieniądze złożone w kasie oszczędności były wedle jej wyobrażenia świętością, niewolno więc było dotykać takowych, jak tylko w wypadkach nadzwyczajnych.

— Wybaczyłabym, mówiła pani Lucas żywo, gdyby ci była przyszła chęć kupienia jakiegoś stroiku, bo ostatecznie wolno nam użyć pieniędzy na zaspokojenie upodobań a nawet przywidzeń. Zwróciłabym tylko twoją uwagę; że pieniądze raz odłożone na oszczędność nie powinny być nigdy wydane chyba gdyby nam zagrażała śmierć głodowa, a okoliczność taka, mówiła z dumnym uśmiechem, nie zagrozi nam nigdy. Wydobyć zaś pieniądze z kasy oszczędności, aby je rzucić w błoto, to jest oddać osobie trzeciej bez żadnego obowiązku; jest grzechem wołającym o pomstę do Boga.

Na szczęście dalsze wymówki były przerwane; bo puls okazał się znacznie przyspieszonym, trzeba więc było bezzwłocznie wezwać doktora.

Wypada jeszcze nadmienić: że pani Lucas była nadzwyczajnie pobłażliwą dla siebie. Gromiąc surowo biedaka, niemogącego uiścić w terminie właściwym zaciągniętego długu, zapominała że płacąc przypadające od niej należytości. starała się to oszukać w rachunku, to urwać jakąś część należytości, pod pozorem najniesłuszniejszym, to nareszcie zaprzeć drobną kwotkę, jeżeli tylko odwoływano się do jej własnej pamięci dla usprawiedliwienia należytości. Skłonność jej do oszukaństwa, tak była znaną w pewnych kołach mieszkańców Paryża, że dostawcy i służba dworska przedsiębrali wcześnie odpowiednie środki, aby uniknąć zagrażającego im poszkodowania.

Niestety wada tak szpetna nie była odosobniona, bo szła w parze z dwoma siostrami rodzonemi: zadrością i chciwością.

Pani Lucas, wypijała malutki kieliszeczek żółci, za każdem wspomnieniem, że są osoby posiadające znaczniejsze niż ona dochody. Chęć zatem powiększenia majątku, była marzeniem całego jej żywota. Popłynęłaby chętnie po wzburzonem morzu spekulacyi niebezpiecznych, a nawet gry giełdowej, aby tylko fortuna jej przybierała coraz poważniejsze rozmiary. Działalność podobna, zamiast doprowadzenia jej do celu zamierzonego, byłaby ją pozbawiła z wszelką pewnością, własnego jej majątku. Na szczęście zapały jej w tym kierunku, poskramiał jeden z zacnych adwokatów paryzkich, wskazany jej za doradzcę przez nieboszczyka męża. Z zasady nie pozwalał on na żadne przedsiębierstwa, bo dochody posiadane przez panią Lucas. wystarczały na utrzymanie już nie tylko wygodne, ale zbytkowe. Ucieczka więc do wszelkiego rodzaju gier losowych, była zupełnie niepotrzebną. Nie znając dobrze usposobienia swej klijentki nie przypuszczał, że dogodzenie jej upodobaniom w mierze, choć na mały rozmiar, było koniecznością: stawiał też nieprzy zwyciężone veto.

Chciwa kobieta jęczała pod ciężarem nieubłaganego jarzma; nie śmiejąc jednak o własnych siłach puścić się na niebezpieczne pole spekulacyi, wypatrzyła w kole znajomych człowieka, znającego się na sprawach pieniężnych, śmielszego w działaniach tego rodzaju aniżeli nieznośny adwokat, a jednocześnie zasługującego na zupełne jej zaufanie, co było rzeczą niełatwą.

Los zatem Eugenii zdawał się być zapewnionym: przyszłość uśmiechała się do niej, bo ze względu na posiadane talenta, rozum, serce, wdzięki i takt w postępowaniu, mogła zająć niepospolite stanowisko w społeczeństwie.

Rozdział II.

Pani Lucas nie lubiła swoich krewnych, jedynie tylko jako domniemanych spadkobierców.

— Nie ma nic przykrzejszego mówiła sama do siebie jak widok sukcesorów. Liczą oni każdą minutę życia swego spadkodawcy, niepokojąc się wielce dobrym stanem jego zdrowia.

Widoki jednak kochanych moich krewnych na mienie przeze mnie posiadane, zawiodą ich zupełnie. Prawdziwa to dla mnie pociecha, bo wystawiam sobie ich twarze przedłużone do nieskończoności, ich gniewy i złorzeczenia. Wszystko to jednak napróżno, bo żaden z was drodzy kuzynowie, ani żadna z was miłe kuzyneczki, nie otrzyma po mnie w spadku ani jednego franka.

Początkowo zamierzała cały majątek rozdzielić pomiędzy instytucye dobroczynne. Po wzięciu jednak Eugenii i poznaniu jej zalet; zrobiła w myśli ważną poprawkę, przeznaczając dla niej znaczną część kapitałów.

— Wprawdzie wyobrażenia tej dziewczyny o miłości bliźniego są szalone, myślała pani Lucas, z wiekiem jednak nastąpi niewątpliwa przemiana.

Pomimo jednak całego wstrętu do krewnych, pani Lucas nie mając nigdy dostatecznej odwagi do napisania testamentu, zapewniła im niewątpliwe dziedzictwo swego majątku.

Znalazł się jednak inny niebezpieczniejszy dla nich współzawodnik, aniżeli instytucye dobroczynne i poczciwa Eugenia: Współzawodnikiem tym był Busson, daleki bardzo krewny pani Lucas, chcący obejść prawa wszystkich innych i uczynić siebie jedynym sukcesorem.

Chcąc zjednać sobie zupełne zaufanie pani Lucas, wziął się do tego z nadzwyczajną zręcznością. Długi czas trzymał się na uboczu, nieprzychodząc jej odwiedzać, a tylko starał się bywać w tych samych co i ona towarzystwach. Za spotkaniem postępował z nią z jak największą grzecznością; nie szukał jednak nigdy rozmowy, a skoro takowej niepodobna było uniknąć, to zamykał ją w obrębach zwykłej gawędki nie dotykając nigdy ani spraw majątkowych, ani wzajemnego ich powinowactwa.

Postępowanie tak delikatne i pełne godności, zastanowiło wielce panią Lucas. Po raz pierwszy spotkała krewnego niemyślącego wcale, wedle jej zdania, zostawać jej spadkobiercą, bo nieczyniącego żadnych przymileń dla zjednania zapisów testamentowych. Niedowierzając jednak własnym oczom, starała się zebrać bliższe wiadomości o swoim kuzynku.

Były one pod każdym względem jak najbardziej zadawalniające.

Busson był dawniej notaryuszem na prowincyi, ale sprzedawszy kancelaryą założył tak nazwany Cabinet d'Affaires w Paryżu, gdzie pośredniczył w rozmaitych przedsiębierstwach finansowych. Posiadając dobra w Okolicach E...... przytem znaczny kapitał, był współuczestnikiem wielu stowarzyszeń, w dziedzinie przemysłu i handlu. Prócz tego wedle zdania ogólnego był człowiekiem niepospolitych zdolności, nadzwyczajnie szczęśliwym w pomysłach, a co jeszcze ważniejsza, nieposzlakowanej uczciwości.

Zrobiona wzmianka że zarabia znaczne pieniądze, że zwiększa kapitały, prowadząc pomimo tego dom bez najmniejszego zbytku, utwierdziła panią Lucas w tem przekonaniu, że jej tyle zacny kuzynek, nigdy i w żadnym razie nie pomyśli o odziedziczeniu jej własnego majątku. Nie domyślała się jednak ani na chwilę, że zbierając powyższe wiadomości, zostawała jak najzupełniej pod wpływem Bussona. Zwolna bowiem potrafił otoczyć ją osobami zostającemi z nim w jak najbliższych stosunkach. Po upływie pewnego przeciągu czasu, pani Lucas nie zwracając na to uwagi, żyła przeważnie w kołach towarzyskich, dawniej zupełnie sobie nieznanych.

Obok więc usłyszanych pochwał, była często obecną jak różni panowie nieraz poważnego stanowiska, dziękowali serdecznie Bussonowi za nastręczenie im rozmaitych obrotów finansowych w których otrzymany zarobek przeszedł wszelkie ich oczekiwania.

Pani Lucas spełniła niejeden kielich goryczy spostrzegając, że niegodziwy adwokat pozwala spoczywać bezczynnie jej kapitałom, a tu obok niej w prędkim czasie ludzie dochodzą do kolosalnych majątków.

Chciwość rozbudzona do najwyższego stopnia drażniła i dokuczała jej nadzwyczajnie. Pod wpływem prawdziwej gorączki, nie umiała przezwyciężyć tyle niebezpiecznej pokusy; zapominając więc o wszelkich innych względach, postanowiła zrobić pierwszy krok, celem zbliżenia się do człowieka tak niezwykłej wartości moralnej.

Zaczepiony Busson oświadczył gotowość zawsze i w każdym razie udzielenia pani Lucas swej pomocy, przyjmując okazane zaufania jako rzecz należną mu i nie objawiając z tego względu najmniejszego zadowolenia.

Krótko widząca kobieta była zachwyconą, ze zrobionego stosunku bliższej zażyłości.

Rzeczywiście Busson przez długi czas był dla niej nadzwyczajnie użytecznym; przyjął bowiem na siebie uciążliwą część kapitalisty, a prócz tego nastręczał od czasu do czasu zyski, choć niewielkie, ale tem milsze bo niespodziane.

Pomimo dawanych usług nie przyjął nigdy najmniejszego wynagrodzenia, a odbierając podarunki w dzień imienin lub Nowego Roku, płacił odpowiedniemi datkami przy pierwszej nastręczonej sposobności.

Postępowanie takie, samo przez się, podobało się nadzwyczajnie pani Lucas; ale wkrótce zaszła oko-

liczność doniośleisza, podnosząca jej uwielbienie i zaufanie dla czcigodnego kuzynka, do kwadratowej potęgi.

Busson nastręczył jej operacyą pieniężną, mogącą przynieść w ciągu miesiąca około sześciu tysięcy franków zysku, ale wymagającą stotysięcznego kapitału.

Pomimo chciwości zawahała się kobieta, bo stawka wydała się zbyt znaczną.

— W działaniu tem przyjmuję udział osobiście, rzekł Busson z uśmiechem politowania, okoliczność więc ta powinnaby stanowić dostateczną dla pani rękojmię. Zresztą zróbmy układ tego rodzaju: na wypadek straty połowę takowej przyjmuję na siebie a należeć tylko będę do jednej trzeciej części zysku.

Pani Lucas poradziła się swego adwokata, ale ten przeciwniejszym był niż kiedykolwiek wszelkim obrotom pieniężnym.

Inne jednak osoby wyśmiały jej lękliwość, bo skoro Busson należał do jakiegoś przedsiębierstwa, to można tam było rzucić miliony z zamrużonemi oczami.

Pani Lucas doręczyła więc Bussonowi żądaną kwotę, a ten jeszcze przed upływem miesiąca, odniósł jej sto sześć tysięcy franków.

Wedle umowy przypadało dla niego dwa tysiące franków, niewspomniawszy jednak o tem ani słówka, zabierał się do wyjścia.

Pani Lucas staczała ciężką walkę wewnętrzną. Nie chciała bowiem wspominać o warunku tak uciążliwym dla siebie, a z drugiej strony lękała się obrazić tyle pożytecznego człowieka.

— Panu należy się coś ode mnie bąknęła naresz cie półgłosem:

— Ale gdzież tam, odpowiedział Busson niedbale. Umowa była żartem niczem więcej. Pani z pewnością nie byłaby przyjęła połowy straty.

Zaczerwieniła się pani Lucas ale znalazła odwagę do odpowiedzenia głosem stanowczym:

— To wielka prawda.

— W takim razie, odpowiedział Busson z godnością, nie mam najmniejszego prawa zabierania jednej trzeciej części zysku.

Wypadek opisany wywołał nader ważne następstwa. Pani Lucas zerwała ostatecznie wszelkie stosunki z dawniejszym swoim doradzcą, oddając wszystkie sprawy pieniężne pod wyłączny kierunek Bussona.

Jakie były ówczesne jego zamiary?

Na pytanie to trudno odpowiedzieć dokładnie. Prawdopodobnie zostawił on rzeczy zwykłemu biegowi wypadków w tem przekonaniu, że pani Lucas nikomu, tylko albo jemu albo jego dzieciom, zapisze posiadany majątek. Wiele względów usprawiedliwiało przypuszczenie podobne; żaden bowiem krewny, jak wiadomo, nie miał przystępu do jej domu, a z obcemi osobami nie łączyły ją inne, jak tylko zwykłe stosunki znajomości.

Chcąc utrzymać taki stan rzeczy o ile możności bez zmiany, Busson bardzo zręcznie i wedle zwyczaju nieznacznie, odwodził panią Lucas od zamiaru wzięcia jakiej biednej sieroty w opiekę.

Wiadomo już wśród jakich okoliczności, pani Lucas przyjęła opiekę nad osieroconą Eugenią.

Busson powziąwszy niespodzianą wiadomość, o przybyciu biednej panienki do domu przyszłej jego spadkobierczyni, utaił niezadowolenie, a nawet posunął tak dalece obłudę, że pochwalił zrobiony wybór. W głębi jednak serca uczuł silny niepokój, że zamiary jego napotkały tak groźną współzawodniczkę.

Dla zabezpieczenia przeto, wedle jego sądu, należnej mu spuścizny; zamierzył tak pokierować biegiem wypadków, aby majątek pani Lucas, jeszcze za jej życia przeszedł na jego bezwarunkową własność.

Potrzebną mu była pomoc doktora; czatował przeto na chwilę, w której obecny lekarz domowy porzuci zbyt wymagającą pacyentkę, aby podstawić w jego miejsce innego ze swego ramienia.

Długi czas doznawał zawozu, bo poczciwy doktór objawiał cierpliwość prawdziwie chrześciańską, i prawdopodobnie wiele lat jeszcze udzielałby pomocy lekarskiej pani Lucas, gdyby nie śmierć przenosząca go do wieczności.

Busson, powziąwszy wiadomość o wypadku tak pomyślnym dla siebie, nadzwyczajnie był uradowanym, zwłaszcza że pytanie dotyczące następcy nieboszczyka, wcześnie było roztrzygniętem, dzięki wskazówkom, udzielonym przez podstawionych przyjaciół.

Przebiegły człowiek, straciwszy od chwili przyjścia Eugenii naprożno dwa lata, postanowił działać szybko i stanowczo. Oparłszy ułożony zamiar na dwóch słabych stronach pani Lucas, to jest obawie utracenia życia i chęci zwiększenia posiadanych zbiorów, był pewnym najzupełniejszego powodzenia.

Wykonanie niecnego zamiaru rozpoczętem było przez doktora. Przez dni cztery przychodził w godzinach umówionych, znajdując stan zdrowia pani Lucas zupełnie zadawalniającym.

Piątego dnia badał puls dłużej niż zazwyczaj, i przy tej czynności był głęboko zamyślonym.

Oznaki tak niezwykłe zaniepokoiły wielce panią Lucas.

— Co to znaczy doktorze, mówiła głosem trwożliwym, czy upatrujesz we mnie jakie zarody niebezpiecznej choroby?

Doktór po małej chwili głębokiego zastanowienia odrzekł z widocznem zadowoleniem:

— Choroba jakiej się lękałem, a nazywana w języku medycznym paraliżem krwi, na szczęście jest odległą, jeszcze mamy więc czas do stanowczego jej zapobiegnięcia. Lekarstwo jakie zapiszę będzie bardzo przyjemnem, a co ważniejsza obejdziemy się bez apteki, chociaż właściwie wypadałoby powiedzieć że tym razem apteką będą: koleje żelazne, powozy, wielkie miasta, niebotyczne góry. Tak kochana pani, mówił doktór, widząc że jego pacyentka patrzy na niego ze zdumieniem. Z powodu zimy zwiedzi pani południową Francyą, Hiszpanią, Włochy, na wiosnę zajedzie pani do Szwajcaryi i nad brzegi Renu, a w lecie będziemy brać kąpiele morskie. Jeżeli pani zastosuje się ściśle do mej rady, to ręczę co najmniej, za sześćdziesiąt lat dobrego zdrowia.

Jeszcze jeden warunek, mówił doktór po małym przestanku, oto nietrzeba zmieniać systemu życia pod żadnym pozorem; starać się o jak największą wygodę i rozrywki w podróży; nadto wypada zabrać z sobą tak pannę Eugenią, jakoteż służących, aby być zawsze otoczoną twarzami, do widoku których pani nawykła.

Pani Lucas tak była ucieszona usłyszaną wiadomością, iż omało nie uściskała doktora, a jednocześnie powzięła zamiar natychmiastowego wyjazdu z Paryża. Nie przypuszczała ona w najbujniejszych marzeniach, aby mogła żyć tak długo; nie wątpiła zatem ani na chwilę o nieomylności doktora, ogłaszającego podobne wyroki.

Nazajutrz dopiero, zastanawiając się z chłodniejszym umysłem nad zaleconą podróżą, spostrzegła z największem przerażeniem, że nie ma odpowiednich środków. Posiadany przez nią dochód wystarczał na świetne utrzymanie w Paryżu, ale był nie wystarczającym do pokrycia zdwojonych wydatków w podróży. Byłoby rzeczą najprostszą naruszyć odkładane corocznie oszczędności, sama jednak myśl podobna wzruszyła ją nadzwyczajnie. Biedna kobieta, mająca pełne szuflady różnego rodzaju obligacyi krodytowych, była w najokropniejszej rozpaczy, nie mając, wedle swego rozumienia, środków do odbycia nakazanej podróży. Wszelkie kłopoty pani Lucas spadały na głowę Busson'a, i rady przez niego udzielane były zawsze zbawiennemi. Bez zwłoki przeto posłała po niego lokaja, prosząc o jak najspiesznieisze przybycie. Nie było go w domu. Zniecierpliwiona kobieta napisała list, takowy jednak po raz pierwszy został bez odpowiedzi. Pani Lucas była oburzona niewdzięcznością kuzynka, chociaż trudnoby jej było usprawiedliwić prawo do podobnego uskarżania się. Nazajutrz zrzucając pychę z serca, pojechała sama do Busson'a, ale bez lepszego powodzenia, bo był zawsze niewidzialnym. Powzięła jednak wiadomość, że o godzinie 2 po południu zastanie go u jednej z pań znajomych. Obrażając przepisy hygieny, zaraz po śniadaniu udała się na spodziewane miejsce spotkania. Tam jednak objaśniono ją, że Busson tylko co odjechał, a z powodu ważnego zajęcia opuszcza na czas jakiś Paryż.

Pani Lucas pod wpływem brzemienia nieszczęść, spadających na nią, usiadła bez sił na kanapie. Biedna jej głowa przepełnioną była myślami zastraszającemi. Dla braku pieniędzy nie będzie mogła odbyć nakazanej podróży, a tem samem przyobiecane sześćdziesiąt lat życia ulegną nadzwyczajnemu zmniejszeniu.

(d. c. n.)

LISTY Z PODRÓŻY.

PRZEZ

Stefana Marusińskiego.

(Dokończenie).

Parę tygodni temu cierpiałem bardzo na zęby, zniecierpliwiony dokuczliwym bólem, kazałem przywołać najbieglejszego arabskiego dentysty w mniemaniu, iż ten jako potomek owych sławnych w starożytności egipskich dentystów, o których biegłości Herodot pisze, uwolni mnie szybko od tego nieszczęśliwego zęba. Proszę więc wystawić sobie moje zdziwienie, gdy zobaczyłem w jego rękach instrument nie będący niczem innem jak tylko prostemi kowalskiemi obcążkami. Nim jeszcze ze zdziwienia mego ochłonąłem, a już ów barbarzyniec trzymał mego biednego zęba w kleszczach, który czując niedelikatne z nim obejście z trwogi przestał mię boleć: naprożno usiłowałem krzyczeć, obcążki tamowały mi głos i oddech, w końcu po 2 minutowem ciągnieniu i kręceniu zębem na wszystkie strony, szarpnąwszy silnie owem niewinnem narzędziem, wyciągnął go dentysta Myślałem że już wszystko skończone, lecz zaledwie otwarłem usta aby mu rozprawę o wyższej chirurgii powiedzieć, gdy w tem ów niegodziwiec jakby właśnie na to czekając, sypie mi pełną garść nietłuczonej soli między zęby i poczyna zranione dziąsło ze wszystkich sił nacierać. Z bólu, strachu i gniewu oniemiałem z czego korzystając rozpoczął z zimną krwią i uśmiechem przekonywać mnie o wyższości jego barbarzyńskiego instrumentu, nad wszystkiemi patentowanemi europejskiemi lewarkami, opierając się na téj zasadzie, że z jego obcążkami ząb na każdy sposób wyrwanym być mu-

si, podczas gdy przy lewarku złamanie zęba dość często ma miejsce.

Naturalnie że cierpienie pacyenta nie wchodzi w rachubę. Mówić wiele nie mogłem dla uwolnienia się więc od tego potworu przyznałem mu racyą i dawszy 20 groszy (na naszą monetę) kazałem wynosić się za drzwi. Polecając się méj pamięci i dziękując za hojną zapłatę, opuścił mię wreszcie ów nieznośny człowiek W kilka dni dopiero przekonałem się że wyciągnął mi zupełnie ząb zdrowy, bolący został, lecz dzięki Bogu nie cierpię nań więcéj. Spotkawszy go niedawno nawymyślałem mu za to doskonale, lecz on mi odpowiedział:

— Allach kerim (Bóg jest wielki) straciłeś wprawdzie zdrowy ząb, lecz czy możesz zaręczyć że w przyszłości nie zabolałby cię kiedy?

Cóż mu miałem na to odpowiedzieć? Nie myślcie jednak że to fantazya, szczerą prawdę opisałem jak było. Co zaś do małości zapłaty, to proszę się nie dziwić gdyż za podobną operacyą płaci się tutaj zwykle 5 do 10 gr.

Dziś właśnie dostałem z Europy gazety francuzkie i angielskie lecz najwięcéj ucieszyło mię kilka numerów „Dziennika Poznańskiego“ które mi jeden znajomy z Poznania przysłał, bo to już tak dawno jak polskiego druku nie widziałem. Jak więc widzicie drodzy moi, powodzi mi się dobrze, jestem zadowolniony, zdrowie sprzyja jak nigdy, i do zupełnego spokoju brakuje mi jedynie częstszych od was wiadomości. Piszcie więc jak najwięcéj.

Tahta 27 Czerwca 1879 roku.

Ciekawy bardzo jestem czy kochany Ojciec odebrał próbkę pszenicy tutejszéj, którą posłałem. Wprawdzie niewiele tego lecz więcéj expedyować nie mogłem; prawo pocztowe bowiem tutejsze nie pozwala na przesyłkę do 100 grammów. Wybaczcie iż dość długo nie pisałem, lecz byłem w podróży i wspomnioną przesyłkę nawet wyprawiałem z miasta Akmim, gdzie bawiłem dwa tygodnie u pewnego Francuza, który dostawszy Europejczyka ani chciał mnie puścić; miałem być trzy dni a zabawiłem aż czternaście.

Zajęcia moje i zatrudnienia tutaj w Tahta są jak były: przedtem mam tylko wiele korespondencyi, bo zapewne z końcem Września r. b. opuszczę Tahtę i udam się gdzie daléj, lecz gdzie z pewnością tego dzisiaj jeszcze nie wiem, czy do Kairu, Suez, czy w głąb Afryki. Niech kochany Ojciec nie myśli że zamieszkałem w Tahta dla chwilowéj fantazyi tylko, musiałem to uczynić i jak powyżéj piszę zapewne trzy miesiące tu zabawię. Czasu tego nie zmarnowałem, owszem pracowałem więcéj niż gdzieindziéj. Co zaś do przyszłości to proszę Najdroższych Rodziców być zupełnie o mnie spokojnymi i być bez troski bo to im tylko zdrowia ujmuje, a w tym razie dzięki Bogu nie ma żadnego powodu do niepokoju. Że mi się w jednym względzie nie powiodło, ha! trudno, takie było przeznaczenie, ale świat wielki i dzięki edukacyi jaką z łaski drogich Rodziców odebrałem stoi mi on otworem dla mnie jest to obojętne gdzie się udam, kiedy w kraju zostać nie mogę to czy jestem w Egipcie, Indyach lub Ameryce, niewielka różnica. Wprawdzie żal mi będzie opuszczać Tahtę, no lecz trudno!

— Strzeżonego Bóg strzeże“ na niebezpieczeństwa lekkomyślnie się nie narażam; dotychczas jakoś idzie a na przyszłość spodziewam się że pójdzie lepiéj. Przyznam się kochanym Rodzicom że z początku brałem się trochę gorączkowo do wszystkiego i chciałem odrazu zyskać wiele, lecz teraz widzę że lepiéj powoli a pewniéj iść naprzód.

Na teraz choć krótko postaram się donieść nieco wiadomości z tutejszego świata.

Najpierwsza rzecz jaką doniosę jest moje spotkanie się z Misyonarzem Polakiem: był on tu przed kilku dniami dla zmiany powietrza, gdyż miał zapalenie oczu egipskie zwane oftalmią. Gdy go poszedłem powitać i po polsku do niego przemówiłem to tak się biedak ucieszył że nie wiedział jak mi ma odpowiedzieć. Mówił do mnie zawsze panoczku i taki był kontent iż cały czas jego pobytu razem spędziliśmy. Jest to jeszcze młody człowiek Litwin, aż od Mińska zwie się Wincenty Jarmoliński. Po ukończeniu nauk w Rzymie był przeznaczonym jako misionarz do Indyi lecz dla słabego zdrowia udał się do Egiptu, następnie do Sudanu i po powrocie ztamtąd osiadł w Garagions, miasteczku w górnym Egipcie, gdzie już od kilku lat swe obowiązki sprawuje. Człowiek to bardzo wykształcony, posiada kilka języków a po arabsku mówi jak „syn araba.“ Udaje się on na teraz nad morze Czerwone i chciał mię zabrać z sobą na miesiąc, lecz mając dosyć zajęcia tutaj musiałem odmówić. Żałował bardzo i mówił mi że towarzystwo i dźwięk ojczystéj mowy dawne zdrowie na wpół mu już wróciły. Ja także dawno już tak wesoło czasu nie spędziłem, on zaś zaręczał że od 8 lat jak jest w Afryce, poraz pierwszy uśmiał się tak serdecznie. O mojem tutejszem życiu nie miałbym tak wiele do pisania, bo dzień do dnia tak jest podobny jak to niebo zawsze błękitne po nad moją głową, którego jednostajności nawet najmniéjsza chmurka nigdy nie urozmaici. Gorąca straszne, rano 28, od 11 do 4 po południu 49 do 52 stop. Ream. to też całe tutejsze życie skupia się na dachach domów służących zarazem za sypialnie: ja jednakże zawsze jeszcze sypiam w pokoju w łóżku i to pod lekką kołdrą na podziw moich sąsiadów. Lecz w wieczór wychodzę na moją terasę, z któréj mam widok na całe miasto, na Nil i aż ku piaskom pustyni. Piękny widok lecz trochę monotonny; najwięcéj zaś bawi mnie przyglądanie się domowemu życiu i zatrudnieniom tutejszych mieszkańców. Na tarasach tych bowiem całe ich gospodarstwa domowe, wszystkie zwierzęta jak w arce Noego, kozy, owce, kury, indyki i koty, wszystko to w najlepszéj harmonii śpi z dzieciakami na ziemi, psy zaś obierając miejsca na rogach teras,y mają minę sfinxów czuwających u ogniska domowego.

Wieśniacy nasi o wiele lepiéj i wygodniéj żyją niżeli ludność tutejsza. Domy ich na wysokość jednego lub dwóch pięter zbudowane z cegieł z mułu ulepionych, nawet niepalonych, nie mają żadnéj formy czyli raczéj budują je według fantazyi ztąd więc tysiące form, o stylu zaś i symetryi ani mowy być nie może.

O oknach pojęcia nie mają, miejsce ich zastępują otwory powybijane w ścianie we wszystkich możliwych kierunkach i wysokościach, bo na co im okna, deszcz nigdy nie pada a gdy Samum lub Chamsin powiewa, to nawet w mym pokoju, którego okna hermetycznie są zamknięte (bo ja mam okna) wszędzie wszystko pokryte delikatnym pyłem, który nawet do zamkniętego zegarka się dostaje. Umeblowanie u nich nader pojedyńcze, stołów ani krzeseł nie mają bo by nie wiedzieli co z niemi robić, łóżka są niepotrzebne, skrzyń i kuferków do przechowywania nie używają, bo nic do schowania nie mają, w ogóle ani miski, ani łyżki ani żadnéj rzeczy któreby jego są. Ale à propos łyżek doskonała zdarzyła się tu historyjka:

Szeik poblizkiej wioski będąc w mieście Sohach gdzie pasza rezyduje, zasłyszał od kogoś iż ów pasza ma jadać jakimś instrumentem zwącym się łyżką. Za powrotem tedy do swéj wioski, zebrawszy całą starszyznę opowiedział im to pytając się zarazem, czyby to nie było postępowo, sprawić dla mieszkańców. o których dobro Szeik ów nader jest dbałym, pewną ilość owych instrumentów. Po długich debatach i po daremnym oporze ze strony partyi konserwatywnéj, na któréj czele stał Mufti, liberalni odnieśli tryumf.

Dawszy tedy pełnomocnictwo i naturalnie pieniądze Szeikowi do zakupienia pewnéj ilości łyżek, wyprawiono go w drogę.

Po długiem szukaniu tego złotego runa powrócił ów nowożytny Jazon do domu, przywożąc z sobą kilka tuzinów drewnianych łyżek. Dzień następny był naznaczonym na próbę, całą noc przyrządzano zupę w rodzaju sałaty zwaną po arabsku „meluchie“ a gdy koło południa wrzący ów kapuśniak wlano do wspólnéj misy, wybrani ludu w godowych szatach zasiedli do okoła, i opatrzeni w łyżki, które im z za pasów wyglądały, czekali z powagą na skinienie Szeika. Na dany znak wszystkie łyżki z szybkością błyskawicy zanurzono we wrzącéj zupie i poniesiono do ust, lecz po przelaniu ich zawartości w usta jeszcze szybciéj rzucono je na ziemię, krzycząc przytem z bólu niemiłosiernie i klnąc na Allacha. Próba się nie udała. Szeik zawstydzony i wyszydzony od konserwatywnych, musiał zwrócić wydane pieniądze, a „corpus delicti“ rozdano pomiędzy dzieci dla ohydzenia im na przyszłość wszelkich zachcianek cywilizacyjnych.

Historya prawdziwa, trzeba bowiem wiedzieć, że Arabowie jedząc palcami, maczają chleb w zupie przez co naturalnie pokarm chłodnieje i prawie letnim go spożywają, w tym wypadku zaś ani im to przez myśl nie przeszło i poparzywszy sobie języki, przyszli do przekonania, że stary zwyczaj lepszy jest od wszelkich nowoczesnych ulepszeń.

Co zaś do moich zajęć domowych, postaram się opisać je cokolwiek drogiéj Matce.

Rano wstaję zwykle o wschodzie słońca, bo to czas najprzyjemniejszy i najdogodniejszy do pracy umysłowéj. Pracuję więc od godziny arabskiej 10½ aż do 1-éj a nasz rachunek od 4-éj do 7-éj następnie piję śniadanie złożone z bawolego mleka, bo naszych krów tutaj nie ma wiele, i suchara pszennego ponieważ świeży chleb w tym upale dłużéj niż 24 godzin konserwować się nie może i pleśnieje natychmiast. Następnie daję kilka godzin lekcyi synowi P. Magniette, i tak około 11 éj przed południem udaję się do Misionarza na obiad: wymógł bowiem na mnie że zawsze u niego obiadować będę. Na obiad tedy mamy zupę i dwa mięsa, przytem rozmaite owoce jak: daktyle, arbuzy, melony, cytryole, indyjskie figi, winogrona i wiele innych których nawet z nazwiska nie znam. Po obiedzie ja uciekam do domu a Misyonarz kładzie się spać, tutaj bowiem od 12 aż do 3 i pół po południu wszystko w najgłębszem śnie jest pogrążone; nawet ptaszka w powietrzu się nie ujrzy. Z największem tylko wysiłkiem mogę powstrzymać się od snu, który jakby ołowiem cięży mi na powiekach, lecz czynię to tylko wówczas gdy jaką pilną robotę mam przed sobą, zwyczajnie zaś, zamknąwszy drzwi, okna i zasłoniwszy żaluzye, kładę się w łóżko i śpię snem prawdziwie kamiennym. Za zbudzeniem cała pościel jakby z wody wyjęta a ja czuję się zupełnie orzeźwionym. Jedynie tylko tak silna transpiracya utrzymuje mnie zdrowym i rzeźkim w tym gorącym klimacie.

Potem udaję się na godzinę lub 2 do Misyonarza i pomagam mu w jego szkolnych zajęciach.

Ztamtąd wprost biegnę na bazar, robię bowiem interesa zbożowe, jak dobrze padnie zyska się niekiedy na dzień 20 do 30 fres, od sześciu do dziewięciu rubli; kupione zboże sprzedaję natychmiast ko-

misionierowi greckiemu który tu mieszka. Ceny zboża tj. przenicy są tu następujące: za ardeb 260fu. człowych płaci się 20 fres, tak 6 do 7 rsr. Ciekawym jaka tam cena u nas?

Opiszę teraz jak się tu kupno odbywa. Na bazarze np. widzę Araba siedzącego przy pewnéj partyi zboża: zbliżam się tedy do niego i rzekłszy mu:

— Światło dzienne niech będzie szczęśliwem dla ciebie, zasiadam obok na ziemi i rozmowa się rozpoczyna.

— Jak się masz? pytam się.

— Dzięki Ałłachowi mam się dobrze, a ty?

— Chwała Ałłachowi mam się dobrze.

— Cieszę się że cię widzę.

— Serce moje, odpowiadam, stęskniło się za widokiem twoim.

— Niech będzie szczęśliwą chwila, mówi Arab, w któréj oczy moje cię ujrzały.

— Twoje woły, osły, kozy, konie i inne domowe zwierzęta mają się téż dobrze?

— Chwała Prorokowi.

Na ostatku wreszcie pytam się o jego żonę, na co zwykle: „Ałłach salam“ odpowiada.

Po tych ceremoniach przy których trzymamy się za ręce i takowe co chwila do serca, głowy i ust podnosimy, biorę garstkę zboża i uważnie jej się przyglądam, na co on zwykle poczyna wychwalać takowe pytając się, czybym co nie kupił? Odpowiadam mu tedy:

— Jak Bóg zechce.

Każe więc przynieść kawę, rozmowa ustaje i każdy z nas z zachwytem czysto arabskim, wchlipuje głośno ten wonny napój.

Po podziękowaniu, życzeniu zdrowia i wielu innych komplementach, kupno się rozpoczyna.

— Wiele kosztuje ardeb? pytam.

— Co mi dasz? odpowiada.

— Mój krewny kupił wczoraj 6 ardebów po 81 piastrów egipskich za ardeb, ja ci zaś daję 79.

— Ja ci sprzedam to piękne zboże po 87 piastrów ardeb.

Targ w targ kupuję wreszcie po 80 pias. ardeb. jeżeli zaś Arab obstaje przy swojem to mówię mu:

— O starcze czy ty jesteś synem żyda? i rzadko się zdarza aby po tych słowach Arab nie ustąpił.

Po ukończeniu kupna muszę dać mu bakszisz tak 6 do 7 piastrów, on zaś daje mi garniec lub dwa zboża. Następnie pijemy znów kawę i po tysiącu komplimentach rozchodzimy się. Cała ta scena którą tu opisałem, powtarza się za każdym razem i pominąć jéj niepodobna, a czyniąc inaczéj, rzadko się co zrobi z Arabem.

Po opuszczeniu bazaru udaję się na przechadzkę, a wróciwszy się do domu zapalam świecę i pracuję zwykle do północy ucząc się lub pisząc listy. Przed pójściem zaś spać, obchodzę pokój ze światłem polując na skorpiony których ukłucie jest śmiertelnem. Wprawdzie teraz nie mam ich wiele u siebie, bo mieszka ze mną wąż, który ze swéj strony wyniszcza je o ile może. Wąż ten jest przestrachem wszystkich mnie odwiedzających Arabów: uśmieję się nieraz ogromnie z ich trwogi.

Opisałem więc moje zajęcia. Jak widzicie czas schodzi mi cicho i jednostajnie, i tak już do tutejszego życia przywykłem, że z przykrością przyjdzie mi zmienić je. Lecz trudno, przeznaczeniem mojem jest prowadzić koczownicze życie czas jakiś.

Przed niedawnym czasem panowała tu ogromna zaraza na bydło, które prawie wszystko padło w Tahta i okolicy; miałem z tego powodu sposobność podziwiać wiarę Arabów w przeznaczenie. Gdy jednemu z nich posiadającemu 20 sztuk bydła stanowiących cały jego majątek ostatnia padła, przechodziłem właśnie około jego mieszkania. Wstąpiłem więc by mu wyrazić współczucie nad jego stratą; na całe moje ubolewanie „Ałłach kerim“ było odpowiedzią i podanie kawy, poczem już ani słowa o bydle i zarazie. Chorych sztuk nie ratowali zupełnie, a padłych nie zakopywali, przezco zaraza więcéj się jeszcze szerzyła. Dziś dzięki Bogu już wszystko ustało.

Nie uwierzy droga Matka jaki mam kłopot z prasowaniem bielizny. Z początku nie wiedziałem co robić, bo w całéj Tahta i na 80 mil w koło oprócz pani Magniette nie ma żywéj duszy któraby o prasowaniu miała pojęcie. Lecz razu jednego ściągając wino z Misyonarzem, spostrzegam w kącie pokoju dwa żelazka, wykrzyknąłem tak radośnie, i głośno, że Ojciec Gerard zdziwiony przyglądał mi się, myśląc czym przypadkiem bzika nie dostał.

— Więc posiadasz żelazka? zapytałem.

— A tak, odpowiada zdziwiony.

— O jakżeś szczęśliwy, rzekłem doń, bo ja myślałem już o wynalezieniu jakiéj machiny do prasowania méj bielizny.

Poczciwy Misyonarz dał mi żelazka a ja z radością kazałem je przetransportować do siebie jak gdyby skarb jaki.

W ten sam więc wieczór rozpocząłem walne prasowanie, lecz po chwili jakże gorzko żałowałem, że mając w Europie mianowicie w domu sposobność do nauczenia się tego szlachetnego kunsztu, tak go sobie lekceważyłem. Po wyprasowaniu bowiem koszul spostrzegłem z żalem, że straciły bardzo na kolorze i jakoś węglowo wyglądały. Ha! trzeba je było prać na nowo i daléj do prasowania, wymyślając przy tem uciążliwem zajęciu w duszy, wynalazcy téj mody i filozofując, jakby to dobrze było gdyby wszyscy ludzie w nieprasowanych koszulach chodzili. Lecz w końcu po wielu trudach, tarapatach i próbach przyszedłem do takiéj wprawy że razu pewnego pani Magniette przyglądając się memu gorsowi zdumiona zapytała:

— Co za geniusz prasuje ci koszule i gdzie on się znajduje?

— Pani! odrzekłem z dumą, tym geniuszem jestem ja w własnéj osobie!

— Niepodobna, rzecze, i tą razą już z bliska przygląda się gorsowi, lecz szczęściem że z pod spodu go nie widziała, bo szelma był posmolony od żelazka aż strach.

Na zakończenie opowiem zabawną historyjkę którą w jednéj z angielskich gazet czytałem: „Było to w Indyach. Czterech kupców kupiło do współki wielki transport bawełny, dla ochrony swego towaru przed myszami, sprokurowali byli sobie kota, którego każda z czterech łapek do jednego z nich za kontraktem należała. Chce wypadek że kot skaleczył sobie nogę, właściciel więc owéj nogi obwiązał takową bawełną nasyconą oliwą i spirytusem. Przez jakieś nieszczęście bawełna na nodze kota się zatliła, biedne stworzenie chroni się do magazynu, z którego w niedługim czasie trochę popiołu zostało, wszystka bawełna spaliła się do szczętu. Właściciele trzech zdrowych nóg wytoczyli właścicielowi czwartej proces o zapłacenie ich części. Sprawa dostaje się przed sąd! Jeden z sędziów po dokładnem rozpatrzeniu kontraktu i wysłuchaniu świadków dał wyrok następujący: Ponieważ kot według zeznań jednę nogę miał skaleczoną i na takowéj wspierać się nie mógł, ogień więc dostał się do magazynu na innych trzech zdrowych nogach. Panów X. Y. Z. skazuje sąd na zapłacenie panu A. jego części jako właścicielowi skaleczonéj nogi. A co czy nie drugi sąd Salomonowy?

Muszę wreszcie list już zakończyć, choćby się jeszcze znalazło co do napisania, lecz zostawiam to do przyszłéj sposobności bo i tak list dość obszerny. Proszę tylko o śpieszną odpowiedź, i doniesienie jak się tam wszyscy w domu miewają. Dzieciaki wszystkie całuję serdecznie. Służbę starą i nową pozdrawiam. Rodzicom rączki i nóżki całuję, a siostrzyczki kochane i szwagierków ściskam od serca. Znajomym proszę się kłaniać. Od Ojca Gerarda serdeczne pozdrowienie i błogosławieństwo misyonarza. Tak radby on co napisać lecz cóż kiedy po polsku nie umie.

Kronika Paryzka.

(Dokończenie).

Przejdziemy teraz do zasad i zewnętrznych form nowéj religii.

Jak to już mówiliśmy August Comte chce wytworzyć bezbożność czyli ateizm religijny. Zamierza widocznie uczynić zadosyć dwom przeciwnym skłonnościom ludzkiego umysłu, z których jedna obejmuje uczucia religijne, a druga skłonność do oporu przeciwko wszelkiego rodzaju powadze.

Można napotkać ludzi, którzy łatwiéj odstąpiliby od wielu prawd zasadniczych niż od pełnienia obrządków religijnych. Widocznie dla nich to prorok pozytywizmu jest kolejno Arystotelesem i Ś-tym Pawłem. Religia przez niego ułożona ma na celu udoskonalić człowieka, przez rozważanie Wielkiéj Istoty. Jak wiemy znaczenie jéj jest podmiotowe, a tem samem i cała religia jest podmiotowa, zasadzając się na *przywoływaniu mózgowem istot ukochanych*. W tych właśnie osobach ukochanych jest uosobiona Wielka Istota, rozmyślanie zatem o nich jest naszem poczuciem religijnem, wewnętrznem. Wzmiankowany prorok daje w téj mierze przepisy bardzo szczegółowe, a jako matematyk z powołania używa porównań nader oryginalnych. Wedle jego określenia, rozmyślanie o osobach ukochanych ma na celu zidealizowanie ich postaci; zidealizowanie to powinno się odbywać za pośrednictwem odejmowania, a rzadko dodawania; powinniśmy zapomnieć o błędach zmarłych pamiętając jedynie o ich przymiotach. Dante przeczuł to prawo wspominając o rzece zapomnienia i o drugiéj gdzie po wykąpaniu się, pozostaje nam tylko wspomnienie dobrego.

Przywoływanie mózgowe zmarłych jest tylko przedwstępem do innego rodzaju wylewu uczuć, nazywanego modlitwą. Pozytywista modli się, jedynie tylko dla uczynienia zadosyć potrzebie wewnętrznéj, wprawdzie może stawiać zadania, ale nie inne jak tylko zmierzające do jego własnego udoskonalenia.

Obrzędy religijne są dwojakiego rodzaju, prywatne i publiczne, z których pierwszy ma jeszcze dwa działy: osobisty i domowy.

Obrząd osobisty dał początek wielkiéj instytucyi nazywanej *sociolatrique*, nowo wytworzonym wyrazem przez Augusta Comta, mającego oznaczać instytucyą „*Prawdziwych aniołów stróży*.“ Aniołami temi rzecz prosta są kobiety. Byt Wielkiéj Istoty jako oparty na miłości i wspomnieniu złączonym jest silnie z płcią tkliwą (sexe affectif); płeć zatem tkliwa jest najdoskonalszym jéj przedstawicielem i jéj pierwszym ministrem. Matka, żona, córka, są obrazem wieczności rodu ludzkiego, łącząc nieskruszonemi ogniwami przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, a zarazem dając obraz solidarności trzech różnych stopni, wyższych, równych i niższych.

Cześć oddawana aniołom stróżom wymaga trzech modlitw codziennych. Poranna jest najdłuższą, ma

na celu przysposobić nas do dobrego użycia naszych sił; południowa powinna wzbudzić wpływ tkliwości zeszczerbionéj zajęciem dziennem; wieczorna wyraża podziękowanie za doznaną opiekę.

Pierwszą i drugą należy odbywać przy ołtarzu domowym, ostatnią w łóżku aż do zaśnięcia aby zabezpieczyć się od szkodliwych pokus.

Obrzęd domowy różni się od osobistego, przez wielką instytucyą sakramentów towarzyskich. Mają one na celu uświęcić niejako życie domowe człowieka, czyniąc je zawisłem coraz bardziéj od życia publicznego. Niektóre z nich są tylko powtórzeniem sakramentów znajdujących się w religii chrześciańskiéj, i w tem znaczeniu są prawdą niewątpliwą. Inne właściwe tylko religii pozytywnéj prawdopodobnie nie trafią do przekonania wszystkich. Do liczby takich należy zaliczyć sakrament wiecznego wdowieństwa i *małżeństwo podmiotowe*, skoro jeden z małżonków przejdzie do rzędu istot ukochanych, żyjących tylko we wspomnieniu. Ostatni sakrament *starości*, wywołałby w zastosowaniu jeszcze większe niezadowolnienie. Człowiek dochodzący sześćdziesięciu trzech lat życia zamiera cywilnie otwiera się po nim spadek a on sam pobiera tylko pensyą emerytalną.

Obrzędy publiczne mają być odbywane tymczasowo w kościołach katolickich, zanim pozytywizm zdobędzie się na wytworzenie właściwéj sobie architektury.

Obecnie jednak wskazane są już ogólne prawidła przyszłych świątyń: mają być wzniesione wpośród grobów znakomitszych pozytywistów, ze zwróconym frontem ku ogólnéj stolicy odrodzonego zachodu to jest ku Paryżowi. Rozkład wewnętrzny posiada również przedwstępną wskazówkę: siódma część nawy kościelnéj przeznaczoną jest dla wielkiego kapłana, aby w chwili odprawiania nabożeństwa znajdował się w otoczeniu kobiet wyborowych, jako najmilszych przedstawicielek Wielkiéj Istoty. Jakie są piętna kobiet wyborowych (femmes d'elite) nie wiemy wcale, prawdopodobnie prorok pozytywizmu, nie chciał w téj mierze krępować w niczem wolnéj woli arcykapłana.

Żegnanie poprzedzające modlitwę jest utrzymane ale w zmienionéj formie, i ze zmienionemi wyrazami.

August Comte wierząc w zasady frenologii, każe szybko dotknąć się organów mózgowych, wyobrażających miłość, porządek, i postęp, przy wymawianiu słów następujących: miłość źródłem, porządek podstawą, postęp celem.

Nie będziemy nudzić nasze czytelniczki opisem różnych obrzędów religii pozytywnéj, w których chorągwie, procesye, święta statyczne i dynamiczne, mają znaczenie niepospolite. Wypada jednak wspomnieć o kalendarzach pozytywnych, które w swoim czasie zabawiły nadzwyczajnie Paryżan, i w prędkim czasie sześć nowych wydań było wyczerpanych.

Łatwy zbyt owego utworu, prorok wziął za dowód przejęcia się swemi zasadami, co było dziwną pomyłką z jego strony, Francuzi chętnie kupili bawiące ich kalendarze, nie myśląc wcale zostać wyznawcami nowéj nauki.

Kalendarzy jest dwa: jeden w zarysie tylko jako zwiastun nowéj ery; skoro zaś ludzkość osiągnie należyty stopień rozwoju, wtenczas dopiero obrzędy wskazane będą ostatecznie. Kalendarz zbyt oderwany nie byłby przeto na czasie, i z téj przyczyny ogłoszonym został kalendarz drugi przechodni, mający na celu względne uwielbianie przeszłości, przez oddanie należnéj czci, znakomitszym pracownikom ludzkości. Znajdujemy tam listę świętych trojakiego stopnia: wielkich, małych i pośrednich rozdzielonych odpowiednio do przyznanego im znaczenia, na typy miesięczne, tygodniowe i dzienne.

Rok rozdzielonym jest na trzynaście miesięcy, wskazanych jest zatem trzynastu patronów miesięcznych. Oto ich nazwiska: Mojżesz, Homer, Arystoteles, Archimedes, Cezar, Ś ty Paweł, Karol Wielki, Dante, Gutenberg, Szekspir, Descartes, Fryderyk, Bichat.

W każdym miesiącu jest cztery typy tygodniowe w każdym tygodniu jest sześć typów dziennych ponieważ dzień siódmy należy do wymienionego powyżéj naczelnika całego tygodnia. Rozkład nazwisk różnych znakomitości uskutecznionym jest nader dowolnie. Herkules niewątpliwie musi być rozgniewanym znajdując się pod rozkazami Numy, a Jan chrzciciel rumieni się zostając w towarzystwie Mahometa; który nietylko jest jego sąsiadem, ale nadto naczelnikiem tygodniowym.

Trudno zrozumiéć dla jakiéj przyczyny Arystoteles został patronem miesięcznym, a Platon tygodniowym, kiedy ostatecznie równi byli geniuszem i położonemi przez siebie zasługami. W miesiącu poświęconym Cezarowi, znajdujemy Filipa obok Demostenesa, chociaż prawdopodobnie zbliżenie takie nie ze wszystkiem trafia do ich przekonania. Beethowen jest podwładnym Mozarta, a Józef de Maistre Dawida Huma. Z krzyczącą obrazą sprawiedliwości Kepler i Kopernik stawieni są bez porównania niżéj od Galla; widocznie Comte uczcił w nim swego poprzednika, nadając mu wysokie stanowisko w dziejach rozwoju rodu ludzkiego.

August Comte przyjmując ważniejsze obrzędy religii chrześciańskiéj, ustanawia również kapłaństwo, nadając mu wielkie znaczenie i dzieląc na ochotników wikarych i proboszczy. Ochotnicy czyli nowicyusze przyjęci są w dwudziestym ósmym roku życia i ściśle wziąwszy nie należą jeszcze do składu władzy duchownéj, pobierają trzy tysiące franków pensyi i nie mają stałego zamieszkania, ale pobyt ich zależnym jest od okoliczności. Wikary jest już kapłanem zupełnym, wyrzeka się majątku osobistego pobierając w zamian sześć tysięcy franków rocznie. Proboszcz pobiera pensyą podwójną a wielki kapłan ma sześćdziesiąt tysięcy franków pensyi, a prócz tego koszta podróży.

Oto są główne zarysy religii pozytywistów. Stosownie do przyjętéj zasady wszelkie przejścia w ludzkości odbywają się powolnie, a jeżeli zbieg okoliczności wywoła jakiś skok nadzwyczajny, jeżeli prawidłowy rozwój jest zwichniętym czasowo, wszystko wraca do pierwotnego punktu wyjścia, dla dopełnienia stopniowych przemian pominiętych w epoce gwałtownego wzburzenia.

Pozytywizm zmierza do utwierdzenia zupełnéj przewagi materyalizmu, do zniweczenia ideału religijnego i sprowadzenia usiłowań człowieka jedynie do celów ziemskich. Zmiana natychmiastowa w tym kierunku byłaby zbyt gwałtowną, wypadało znaleźć drogę pośrednią wiodącą niewątpliwie do zamierzonego celu. Tą właśnie drogą jest ateizm religijny, obracający w nicość ideję Boga i nieśmiertelność duszy, przy ustanowieniu na ich część odpowiednich obrzędów. Szczerość jednak okazana przez Augusta Comte zasługuje na jak największe uznanie, dał on systemat swej nauki ze wszystkiemi następstwami, dozwalając tem samem ocenić nową naukę w zastosowaniu. Uczniowie jego nie postępują z równie dobrą wiarą, zakrywając część najważniejszą nowéj nauki, i tym sposobem podtrzymują złudzenie wielu osób, nieumiejących dopatrzéć grożącego niebezpieczeństwa. Świadomość zatem celu ostatecznego, z wielu względów nie powinnaby być bez pożytku.

„Czem są wzajemne stowarzyszenia na przeżycie.“

PRZEZ

E. ROŻEJOWSKIEGO.

Nader jest rzeczą naturalną, że człowiek zdrowo myślący, obdarzony poglądem trzeźwym, wyrobionem zdaniem, pragnie zabezpieczyć własną lub też dzieci swych dolę od ewentualnych wypadków losu. Do tego służą kasy oszczędności, jakoteż asekuracye na życie. Kasy oszczędności, których pożyteczność powszechnie jest znaną, wywierają zbawienny wpływ swój szczególniej na mniej zasobne warstwy społeczeństwa, stając się, że tak powiem, niejako skarbonkami w które przezorni ludzie składają zaoszczędzone pieniądze, ażeby kiedyś później, w danej chwili, módz z nich korzystać. Są one instytucyami nie tyle asekuracyjnemi, jak raczej depozytowemi; łatwość bowiem odebrania w każdej chwili złożonych kapitałów, stanowiąca właściwą ich cechę, nie może zapewnić stałej przyszłości.

Ubezpieczenie na życie przedstawia inne zupełnie warunki: daje ono w oznaczonym terminie pewien kapitał niezależnie od wpływów postronnych — ale żeby tego rodzaju asekuracye stały się korzystnemi dla przyjmujących w nich udział, powinny być oparte na stanowczem zobowiązaniu towarzystwa, wypłacania stale oznaczonej sumy w odpowiednim terminie, swoim uczestnikom.

Otóż pan E. Rożejowski w świeżo wyszłej z druku broszurce p. t. „Czem są wzajemne stowarzyszenia na życie,“ motywowaniem własnem, zwięzłem a na cyfrach opartem, wykazuje różnicę pomiędzy „Ubezpieczeniem“ a „Wzajemnem stowarzyszeniem,“ i przestrzega publiczność, ażeby ta, fałszywemi nie omamiona obietnicami, nie dała się uwieść biorąc blichtr za złoto, a ułudę za rzeczywistość.

Na wstępie objaśnia on zawiązek i powstanie „Wzajemnych stowarzyszeń na przeżycie.“ Wprowadził je w czyn we Francyi niejaki Lorenzo Tonti, Włoch rodem, przy protekcyi kardynała Macariniego w r. 1653; zamierzona jednakże tak zwana „Tontina“ nie odpowiedziała oczekiwaniom; od owego czasu aż do r. 1770 założono dziesięć nowych „Tontin“ rządowych, lecz takowe w końcu edyktem królewskim zniesione zostały. Następnie wszystkie na podobnych warunkach oparte stowarzyszenia, równie smutnego doznały losu, a nie mając powodzenia we Francyi i Anglii, przeniosły się na zachód ażeby łowić w sidła swych obietnic łatwowiernych.

Kolporterzy mianowicie towarzystwa „Ankra“ zalewając Austryą kłamliwemi tabelami problematycznych zysków, przyczynili się niemało do rozszerzenia tyle zgubnej dla ogółu kombinacyi.

Że zaś „Wzajemne stowarzyszenia na przeżycie“ nietylko nie dają swym członkom żadnej pewności otrzymania w pewnym terminie przyrzeczonych kapitałów, ale przeciwnie, narażają ich zawsze na smutne odczarowanie, pan Rożejowski dowodzi kategorycznie, dobitnie, rachunkowo.

Kombinacya przedstawiona przez nie, jest pewnym rodzajem loteryi. Większa śmiertelność stowarzyszonych daje zostającemu przy życiu wygranę, mniejsza zaś pusty los, który wszakże nie powinienby nigdy być mniejszym od kapitału wraz z narosłemi procentami.

Takąby byłaby teorya: w praktyce jednak wygrana nie wychodzi, a zredukowany kapitał stanowi białą kartkę. Wszelkie zyski obiecane nie mogą się

tworzyć z przewyżki procentów, fundusze bowiem bezpiecznie tylko lokowane, przedmiotem spekulacyi giełdowej w zasadzie być nie powinny; tym więc sposobem tylko sukcesya po zmarłych, ludzi wyobraźnię, a śmiertelność przedstawia szansę wygranej.

Lecz weźmy statystykę.

Śmiertelność wśród dzieci, które są najpożądańszemi członkami stowarzyszenia, jest wprawdzie wielką, lecz tylko pomiędzy niemowlętami i to klas biedniejszych. Do stowarzyszenia wszakże przystępują przeważnie ojcowie rodzin zamożnych z dziećmi, które wyszły już z wieku niemowlęctwa, przez co cały rachunek zawodzi. Statystyka w obliczeniu procentów śmiertelności, nie zna różnicy pomiędzy bogatym i ubogim, chorym i zdrowym, żonatym i bezżennym, a że dzieci biedne, chore i z nieprawych pochodzące związków, największy jak wiadomo stanowiące kontyngens śmiertelności, do spółek na przeżycie nie przystępują, to też liczba spadków do bardzo ograniczonej cyfry się redukuje. Do krótkotrwałych spółek przystępują dzieci w późniejszym już wieku, śmiertelność między niemi bardzo jest małą, i ledwie wystarczy na pokrycie szczerb zrządzonych w funduszach stowarzyszenia przez koszta administracyi. Dzieci dorosłe, mając największe prawdopodobieństwo dłuższego życia, nie obiecują znaczniejszych pozostałości, młodsze zaś nie pozostawiają nic prawie dla stowarzyszenia ponieważ zmarłe w niemowlęctwie nie dały rodzicom czasu, aby za nie więcej uczynili wkładów.

Tu p. Rożejowski objaśnia cyframi iż w wspomnionym stosunku dziecko od jakiego ojciec opłaca rocznie po 100 fl. a jakie podług na fikcyi opartych obliczeń „Ankra“ powinno dostać po 20-tu latach 8,000 fl., nie może otrzymać jak tylko rs. 380 k. 8. Tak nizki stosunkowo rezultat, jest wypływem reasekuracyi. Reasekuracya zaś służy uczestnikom do tego, że osobną składką nabywają prawa do swoich wkładów, które musiałyby na wypadek śmierci stowarzyszonego stać się własnością towarzystwa.

Jeżeli okaże się jakakolwiekbądź przewyżka, tę pochłaniają koszta administracyi, w większej części lub nawet w całości ów zysk ze spadków pochodzący.

Tymczasem ubezpieczenia na dożywocie (Ubezpieczenie wyposażenia oznaczoną sumą) przedstawiają zupełny system oszczędności. Tu nie ma obietnic naszpikowanych słowami „jeżeli“ „prawdopodobnie“ i t. d. które potem okazują się pustymi dźwiękami. Stanowcze zobowiązania towarzystwa do wypłacania ściśle oznaczonej sumy w odpowiednim terminie, zapewnia zamierzony cel wyposażenia dziecka albo też byt ubezpieczonego.

Jakkolwiek wypadną koleje losów, towarzystwo ubezpieczeń związane jest raz ustanowioną cyfrą w polisie i od tej cyfry odstąpić nie może.

Tym sposobem p. Rożejowski dowodzi że dobro ubezpieczenia na dożycie. w szczególności zaś na posagi dla dzieci, tylko za stale oznaczoną składką i sumą ubezpieczenia, może być w skutkach swych zbawienne, a to z następujących przyczyn:

1). Ponieważ pozwala na osiągnięcie w każdym razie celu oszczędności, co dla ojców rodzin ważnem jest zaspokojeniem.

2). Ponieważ bezwarunkowo więcej zapewnia aniżeli pojedyncze zaoszczędzenie.

3). Ponieważ wywiera moralny przymus do pewnego osiągnięcia celu, podczas gdy własne dobrowolne oszczędzanie, na rozmaite wystawione jest próby, i rzadko kto przez długi przeciąg lat, zdoła wytrwać w postanowieniu odkładania swych oszczędności.

4). Ponieważ na małe kwoty niezawsze można znaleźć w każdej miejscowości odpowiednią lokacyą.

Taką jest mniej więcej osnowa streszczonej przez nas broszurki.

Powtarzamy raz jeszcze, iż wywody pana E. Rożejowskiego skreślone stylem zwięzłym, jasnym i dobitnym, a co najważniejsza opierające wszystkie swe dowodzenia na matematycznem obliczeniu i niezaprzeczonych pewnikach, objaśniając ujemne strony „wzajemnych stowarzyszeń na przeżycie,“ stają się nader pożytecznym przyczynkiem do ekonomii społecznej, i oddać mogą zarazem niemałe usługi tym, którzy nie znając dokładnie istoty rzeczy, byliby z łatwością uwiedzeni kłamliwemi obietnicami spekulantów poświęcających dobro ogółu dla własnego interesu.

Ludwik Niemojowski.

Przegląd literacki.

Kolenda dla Marylki, zbiór wierszyków przez A. Fiedorowiczową. Warszawa, druk Józefa Ungra. 1880.

W liczbie wydanych na bieżący sezon książeczek dla dzieci znajduje się wyszła z pod prasy przed samym nowym rokiem praca pani A. Fiedorowiczowéj p. t. „Kolenda dla Marylki“. Jest to zbiór wierszyków młodemu pokoleniu poświęconych. W pierwszéj części niektóre szczegóły z życia Zbawiciela w formie przystępnéj do pojęć młodego dziewczęcia; w drugiéj znowu, obszerniejszéj, mieszczą się obrazki, bajeczki i wydarzenia z życia dziatek do umysłu młodocianych czytelników zastosowane. Najwybitniejszą dodatnią stroną wspomnionego dziełka jest duch religijny wiejący z każdego przytoczonego epizodu, z każdego niemal wiersza, ożywczem tchnieniem i serdecznem ciepłem. Szanowna Autorka przejęta głęboko zasadami nauki Chrystusa stara się wlać w serduszka zaledwie rozkwitających latorośli tę cześć dla Istoty Najwyższéj, tę miłość dla Stwórcy wszech świata, jaką sama wypielęgnowała w duszy swojéj. Dążność podobna przy dzisiejszem hołdownictwie wyobrażeniom materyalnem, gdy strawa wiedzy utylitarnej podawana częstokroć zbyt wcześnie przy wychowaniu dziatek, przynosi ujmę moralnej stronie ich kształcenia się, godną jest ze wszech miar uznania. Winniśmy obsiewać młodą a niewinną rolę w ziarna praktyki życiowe, ale przede wszystkiem należy ją zwilżyć rosą łaski niebieskiéj, inaczej bowiem plon który wyda z siebie pozbawionym zawsze będzie téj siły duchowéj i moralnéj jaką dać mogą tylko czyste zasady religii. Dziecię z rozwiniętemi pojęciami przyjmuje korzystnie zastosowaną do potrzeb życia teoryą: dziecię zaś wychylające zaledwie swą główkę na Boży świat, powinno przede wszystkiem mieć wskazane promienie światła wiary, bez której wszelkie cnoty społeczne i rodzinne staną się dlań niezrozumiałemi.

Powiedziawszy tyle o szlachetnym kierunku rozbieranego przez nas dziełka, wspomnieć z kolei wypada o jego formie. Forma ta, zdaniem naszem, nieodpowiada założeniu. I tak np. w części pierwszéj bezmierne użycie łatwych rymów sprawia iż pomimo pięknych myśli, zręcznych zwrotów i porównań, wiersz staje się wodnisty, bezbarwny, przypominający nawet niekiedy jasełkowe kolendy.

W drugiej części, oprócz wymienionych powyżej usterek, znajdują się jeszcze i błędy językowe. Niejednokrotnie sz. Autorka dla rymu poświęca zasady gramatyczne mówiąc naprzykład ciężko *dysze*, zamiast ciężko dyszy (str. 56), w innych znów miejscach bez żadnego już powodu zapomina o logice w składni szyku np.

W wodę zapada *wśrod* jęku, (str. 63)
lub:
Padnę mu do nóg we łzach i *wierze* (str. 97).

Podobne błędy pominęlibyśmy może milczeniem w książce przeznaczonéj dla dorosłych czytelników, inna jednakże jest rzecz gdy idzie sprawa o kształcenie młodych umysłów. Piękna i bogata mowa nasza to najczystsza skarbnica wiedzy, zamącać więc tego źródła nie godzi się jeżeli chcemy ażeby pokarm podany maluczkim zdrowym był i posilnym.

W liczbie wierszyków składających część drugą znaleźć można i takie których wewnętrzna strona odpowiada całkowicie zaletom formy i obrobienia: do wspomnionych należy: utwór p. t. „Księga mądrości“ (najlepszy z całego zbiorku) i Rozmowa. Dodałbym jeszcze do wymienionych powyżej i wierszyk p. t. „Złośliwe psoty“ gdyby nie epizod wlewania wody w buty, z natury wprawdzie wzięty, ale rażący trywialnością przy rzewnym nastroju całości.

Wydanie jest ozdobne, korekta staranna, z wyjątkiem grubego błędu w spisie przedmiotów, gdzie dwa najgłówniejsze podziały książki (pomiędzy str. 35 a 36-tą) nie są wcale oznaczone.

Rycina ozdabiająca dziełko przedstawia się karykaturalnie. Jeden z pasterzy oddających pokłon nowonarodzonemu Zbawicielowi ma postać orangutana, a liście palmy zwieszone nad głową Bożego Dziecięcia wyglądają jak olbrzymi pająk czyhający na swoją zdobycz. Obrazek podobny, szczególniej treści religijnéj, miasto podnieść ducha, wywrzéć tylko może nader niekorzystne wrażenie na młodocianych umysłach. *Ludwik Niemojowski.*

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 26 Декабря 1879 г. Redaktor J. K. Gregorowicz Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 2 r. 1879|80.

VILLA HORTENSIA.

przez

Antonio Caccianiga.

Przekład z włoskiego

przez J. B.

(Ciąg dalszy).

— W Brianza znajdziecie doborowe towarzystwo, rzekła baronowa; śliczne to miejsce dla pragnących spędzić na wsi letnie miesiące—może nawet spotkacie się tam z naszymi znajomymi z Mediolanu.

— Niepodobna... villa moja jest bardzo odległa od uczęszczanych miejscowości.

— Tem lepiéj... rzekła Berta.

— Przeciwnie—tem gorzéj, odparła cierpko baronowa; na wsi niepodobna obejść się bez towarzystwa—jeźli ktoś nie chce zdziczéć.

— Rzeczywiście, odrzekł Cipriano; jedyną zapewnie istotą jaką tam widywać będziemy, jest ów doktór o którym wspominałem .. a ten, według zdania pani baronowéj, zdziczał zupełnie. Mimo to jesteśmy przyjaciołmi od lat dziecinnych. Dopókąd żyli rodzice moi, zawsze jesień przepędzaliśmy w villa Hortensia, a Valentino bywał nieodłączonym moim towarzyszem... Całe dnie bawiliśmy się w parku; późniéj odbywaliśmy wycieczki w góry, na jeziora a nakoniec nastąpiło nasze studenckie życie w Padwie. Tam jednak daleko już rzadziéj widywaliśmy się z sobą, ja wieczory spędzałem w kawiarni w towarzystwie wesołych kolegów, Valentino zaś zamykał się ze swemi książkami, dnie i noce zatopiony w nauce... Jest to złote serce i wyższy umysł... ale człowiek zdziczały.

— I cóż on robi w Brianza? spytała baronowa.

— Jest doktorem i uczy się ciągle.

— Ale pytam się, co człowiek z talentem może robić w Brianza?... Czemuż nie zamieszka w Mediolanie? mówiła baronowa.

— Per Bacco!... Valentino miałby zamieszkać w Mediolanie!... ależ on dwóch dni tu wytrzymać nie może. Jeźli przypadkiem wpadnie za interesem staje u mnie ale wyjeżdża jak najśpieszniéj... Nigdy nie udaje mi się go zatrzymać; mówi że mury miejskie duszą go i tamują oddech, że powietrze gór jego jest mu niezbędne do życia... Przyjeżdża dla nabycia książek... wraca co prędzéj zakopać się na wsi i długo się znów nie pokazuje.

— Ale cóż mu po téj całéj nauce zakopanemu w pośród gór?... cóż mu z niéj tam przyjdzie?...

— Co mu z niéj przyjdzie?... jak mi to sam wyznał przyszło mu z niéj to jedynie... że dziś nie wierzy w nic... nawet w medycynę.

— Co za szaleństwo!... musi to być wielki oryginał.

— Jeźli pani baronówa pozwoli, przedstawię go przy pierwszéj sposobności.

— Wielką mi hrabia zrobisz przyjemność.

Od owéj chwili narzeczeni często rozmawiali z sobą o swoim pobycie w villa Hortensia. Berta zadawała różne pytania odnoszące się do téj posiadłości i układała rozmaite na przyszłość projekta; co ranek miała odbywać długie przechadzki po górach, czytywać w cieniu rozłożystych drzew, umilać samotność muzyką i śpiewem, codziennie parę godzin rysować w parku i zdejmować jego widoki.

— Dziwi mnie to niewymownie, rzekł raz Cipriano, iż odbywszy tak odległe podróże, mogłaś zachować tak skromne upodobania.

— O ile mogłam poznać świat w ciągu tych moich podróży, raczéj chęć unikania go niż uganiania się za nim obudziła się we mnie, i dla tego przekładam ciche i spokojne życie na wsi, nad głośne uciechy i rozkosze wielkich miast.

To ciche życie które ona opisywała mu tak uroczo, wydawało mu się bardzo ckliwem i nieznośnie nudnem, pocieszał się jednak tem iż wiedział dobrze jak krótkotrwałe są naiwne rojenia młodych dziewcząt, jak niezdolne przetrwać próby. Prędko bardzo świat i towarzystwo pociągają je ku sobie domagając się praw swoich, i zapominając sielankowych złudzeń, rzucają się chętnie w wir zabaw. Nie objawiał jednak tych myśli swoich, aby nie zatruwać dni poprzedzających ślub, które zazwyczaj stanowią najmilsze chwile w życiu kobiety.

Przyjaciele hrabiego pewni byli że gdzie wyjechał, ponieważ nie widywał się z żadnym z nich; służbie wydał najsurowsze rozkazy aby nie odbierali żadnego listu od Sary Yves, a jeden nadesłany pocztą odesłał natychmiast, poznawszy na adresie pismo Sary, Całe dnie prawie przesiadywał u narzeczonéj, a pewnego dnia przyprowadził przyjaciela swego, doktora z Brianza, którego przedstawił baronowéj w tych słowach:

— Mam zaszczyt przedstawić pani doktora Valentino Gabrielli, który jest dla mnie więcéj prawie jak przyjacielem, od lat dziecinnych kochamy się jak bracia.

Młody doktór, mocno zmieszany, postąpił parę kroków kłaniając się z uszanowaniem, i nie zauważywszy małego stoliczka, potrącił go i przewrócił krzesło. Na ustach baronowéj zaigrał przelotny uśmiech..! w myśli wydała nieodwołalny wyrok potępienia.

Berta przeciwnie powitała młodego człowieka z uprzejmą życzliwością; zdawało jéj się że go już gdzieś widziała, i nareszcie przypomniawszy to sobie, rzekła:

— Czy przypominasz pan sobie, że podróżowaliśmy razem?

— Pamiętam to doskonale; raz płynęliśmy razem statkiem parowym *Lario* a następnie spotkaliśmy się przy *table d'hote* w Tremezzina.

— Przypominam .sobie... a więc taką rzeczą jesteśmy starzy znajomi.

I zeczęła się rozmowa o piękności jezior lombardzkich i cudnych górskich krajobrazach.

— Jak nam mówił hrabia Cipriano, mieszkasz pan stale w Brianza, zagrzebany w książkach.

— Żyjąc na wsi, nie pozostaje jak tylko uwielbiać piękną przyrodę i oddać się naukom;

— Czy pan jesteś żonaty?

— Nie, panno hrabianko.

— Założyłbym się że nie wierzysz w szczęście w małżeństwie, rzekł Cipriano.

— Nic dziwnego... na nieszczęście los nie sprzyja mi jak tobie.

— Czy to komplement dla mnie, panie doktorze?

— Nie pani, nie umiałbym się na niego zdobyć— powiedziałem co myślę.

Pani baronowa pomyślała sobie: — Ach! cóż to za prostak!

Berta zadała mu jeszcze kilka pytań o Brianza, a w końcu zapytała czy nazwa villa Hortensia pochodzi od owego pięknego krzewu, kwitnącego różowo lub niebieskawo.

— Nie, pani, odrzekł Valentino. Nazwę tę nadała villi od swego imienia, hrabina Hortensya de Cast-lbreno, prababka Cipriana, która kazała wyrestaurować pałac i urządzić park, jeszcze w ubiegłem stuleciu. Dostojna ta pani bardzo lubiła swoją villę, w któréj spędzała znaczną część lata, otoczona panami i damami naśladującemi z oddali życie wiedzione w Worsalu i w Trinon,—to jest łącząc prostotę z najwyszukańszym zbytkiem i zabawiając się wiejskiemi uciechami, w kosztownych strojach i upudrowanych włosach.

— Otóż takie życie bardzoby mi się podobało— w takich warunkach mogłabym mieszkać na wsi, rzekła baronowa sznurując usta.

Doktór unosił się nad pięknością marmurów pałacowych i kilku bardzo kosztownych obrazów zdobiących salony. Opisywał piękne położenie parku, w którym znajdowało się wiele drzew nadzwyczaj wyniosłych, podziwiał rozmaitość ich liści oraz prześliczne widoki i krajobrazy przedstawiające się oczom z niektórych punktów, panujących nad doliną. Mówił o dziecinnych latach i wspólnych zabawach z Cipriano, a hrabia wskazał Bercie bliznę pod prawem okiem doktora.

— Patrz, Berto, oto niezatarte owych czasów wspomnienie.

— Jakto?... któż zadał mu ranę? zawołała.

— Ja, odrzekł Cipriano, w zapale walki.

— A! to bardzo źle, jak można było ranić przyjaciela.

— Był w swojem prawie, odrzekł doktór. Bawiliśmy się w żołnierzy, ja zacięcie broniłem reduty i Cipriano przekonał się wkrótce że chyba tylko szturmem zdobyć ją może. Zamiast bagnetów mieliśmy ostro zakończone kije; wskoczył śmiało na szaniec z podniesioną bronią i zdobył go mężnie; ale nacierał z takim zapałem, iż nie wiedząc o tem ugodził mnie końcem kija w oko i o mało nie straciłem go na zawsze. Szczęściem skończyło się na bliźnie.

Gdy doktór się pożegnał, Cipriano wyszedł za nim i zaraz na ulicy zapytał przyjaciela:

— Jakże ci się zdaje moja narzeczona?

— Gdy ujrzałem ją na jeziorze Como, od pierwszego wejrzenia wydała mi się ideałem kobiety jakiéj nigdy spotkać mi się nie zdarzyło... Nie mogłeś lepszego zrobić wyboru.

Berta znów rzekła do baronowéj po ich odejściu:

— Ten doktór bardzo jest sympatyczny dla mnie.

— Eh! moja Berto, prostak i nic więcéj... co do mnie, jak tylko ktoś nie umie znaleźć się w salonie i nie ma salonowego obejścia, choćby był nie wiém

jakim geniuszem lub bohaterem, zawsze wyda mi się nieznośnym.

Szybko minął miesiąc poświęcony przygotowaniom i odwiedzinom niezbędnym przed ślubem; dzień oznaczony nadszedł prawie niespodziewanie. Baronowa ułożyła cały program uroczystości; oczekując w salonie spełniała obowiązki pani domu, nie odstępując ani na włos od zasad najściślejszéj etykiety.

Gdy już państwo młodzi mieli wsiadać do powozu aby udać się do syndyka i do kościoła, służący barona Montferrano oddał hrabiemu list przyniesiony przez jakiegoś nieznajomego. W nieodłącznym w podobnéj chwili zamieszaniu, Cipriano nie miał czasu czytać listu, i nie spojrzawszy nawet na adres włożył go do kieszeni.

Ślub odbył się w municypalności i w kościele, młodzi małżonkowie wrócili do pałacu Montferrano na śniadanie, po którem zaczęli żegnać się z rodziną i gośćmi i zabierać się do odjezdu. Powóz podróżny zajechał przed bramę; szukając rękawiczek, Cipriano znalazł list włożony do kieszeni; podpisany był nieznanym mu charakterem, a że w téj chwili sam był w pokoju, wzięła go ciekawość zobaczyć od kogo jest ten list. Rozpieczętowawszy poznał zaraz pismo Sary; w pierwszéj chwili chciał podrzéć list nie czytając, ale po namyśle rzekł sobie: — Nic już teraz nie ryzykuję choćby nie wiedzieć co mi napisała... mogę więc przeczytać"...

Oto co stało w liście.

„Owego dnia kiedy widziałeś sir Norwich'a wychodzącego odemnie, zobaczyłam cię z okna mego pokoju, i Anglik nie zszedł jeszcze ze schodów, kiedy przywołałam go i pożegnałam na zawsze, żałując mocno że jedynie powodowana względami grzeczności, naraziłam się na podejrzenia twoje. Natychmiast napisałam do ciebie usprawiedliwiając się i prosząc o przebaczenie—a ponieważ odesłałeś list mój nie czytany, uznałam że nie ma po co pisywać daremnie. Nic nie zawiniłam, kocham cię z całéj duszy, byłam pewna twéj miłości i oczekiwałam cię nie przyjmując nikogo. Dopiero wczoraj wieczorem dowiedziałam się przypadkiem że się żenisz. Straszną noc przepędziłam. i nareszcie postanowiłam pożegnać cię na zawsze... i umrzéć.

„List ten zostanie ci oddany przed ślubem... podczas którego wyziewy węgla uwolnią mnie od ciężaru życia. Żegnam cię na wieki!"

„Sara."

List ten wywarł piorunujące wrażenie: miłość, wyrzuty sumienia, rozpacz, miotały duszą hrabiego i przywodziły do szaleństwa.

Wzburzony i pomieszany, nie wiedział co począć, gdy w tem weszła żona jego w podróżnem ubraniu, wsparta na ramieniu starego markiza Castelbreno; postępujący za niemi liczni krewni i przyjaciele, otoczyli go ściskając mu dłonie, składając życzenia i unosząc się nad pięknością Berty. Pociągnięty nieprzepartym wirem, odurzony nawałem słów i grzeczności, zszedł ze schodów i wsiadł do powozu jak automat posłuszny popychającéj go sprężynie, i sam nie wiedział jakim sposobem znalazł się siedzącym w karecie obok żony. Służący zamknął drzwiczki, konie ruszyły galopem.

Stary markiz Castelbreno nie posiadał się z radości.

— Ja to skojarzyłem to małżeństwo, mówił sobie; a jest ono pod każdym względem jedno z najdobrańszych w Mediolanie; wszystko się w niem jednoczy: młodość, piękność, wysokie urodzenie, bogactwo, wszystko czego tylko zapragnąć można... Berta jest aniołem. . mój synowiec dobry chłopak... ma doświadczenie i zna świat, będzie więc najlepszym mężem. I mówią że jest już przeżyty... albo to prawda! widziałem przecie jego pomięszanie, zdawał się więcéj jeszcze wzruszony jak Berta!... Doprawdy aż mnie to zadziwiło!... żegnając się ze mną słowa wymówić nie mógł, i tylko jak w kleszczach uścisnął mi rękę. Gotów kto posądzić mnie o chełpliwość, ale jak tu nie chełpić się skoro udało mi się skojarzyć tak wzorowe małżeństwo...

Podczas gdy dobry starowina tak cieszył się swojem dziełem, Cipriano rozmyślał nad tem jakiegoby chwycić się środka, aby wysławszy żonę samą, pozostać w Mediolanie. Berta spostrzegła zmianę twarzy i pomieszanie męża i zapytała z niepokojem co mu się stało, czy nie chory?

— Nie mogę ci zataić że znajduję się w nader trudnem i kłopotliwem położeniu. Właśnie wsiadając do pojazdu odebrałem list, w którym zawiadamiają mnie o pojedynku jednego z moich przyjaciół, wynikłym z prostego nieporozumienia, które mógłbym wyjaśnić jednem słowem.

— A więc trzeba uczynić to niezwłocznie.

— Takby należało—jest to nawet koniecznem... gdyby w tym dniu wydarzyło się jakieś nieszczęście uważałbym to sobie za najgorszą wróżbę... Ale co tu począć?...

— Każ jechać do tego przyjaciela—ja zaczekam w powozie.

— Niepodobna!... byłoby to zupełnie niestosowne!... A jednak... może tu iść o życie.

— Więc bądź co bądź nie można dopuścić tego nieszczęścia.

— Jeden tylko pozostaje sposób! zawołał nagle Cipriano... Wiesz co, moja droga, jedź sama, ja wysiądę i przesunę się najodludniejszemi ulicami; dojedź do Monza i zaczekaj tam na mnie. Będę się starał jak najśpieszniej załatwić tę sprawę, wsiądę do fiakra i pojadę do Morza z kąd już, razem udamy się do villi.

— Jeźli uznajesz że tak będzie najlepiej, zgadzam się na to chętnie—tylko proszę cię nie baw tam zbyt długo.

— Możesz być pewna że będę się starał przybyć do ciebie jak najprędzej.

I jak to opowiedziała Fiorina, wysiadł z powozu mówiąc:

— Więc tedy, zaczekaj na mnie w Monza, w hotelu *pod Sokołem.*

Powóz ruszył w dalszą drogę a Cipriano obejrzawszy się na wszystkie strony aby zobaczyć czy nie idzie kto ze znajomych, pobiegł do Sary i zadzwonił gwałtownie, zamierzając zabawić kilka minut i zerwać z nią stanowczo. Gdy tylko otworzono sień, wpadł śpiesznie na schody i spotkał się na nich ze stangretem Baptystą, który minął go spokojnie, zdejmując kapelusz. Ten spokój sługi i jego uspokoił: — Może to tylko mistyfikacya, pomyślał; tem lepiej, prędzej się wszystko skończy, nie mogłem odjechać z takim niepokojem w sercu. Wszedłszy na pierwsre piętro, zapytał o pannę służącą Sary.

— Poszła na spacer, odrzekł lokaj; pani uwolniła ją dziś na cały dzień.

— A gdzież pani?

— Jest w swoim pokoju i kazała mi nie przyjmować nikogo... jednak jeźli pan hrabia pragnie koniecznie widzieć się z panią... sądzę że dla niego jednego mogę przekroczyć ten rozkaz.

Cipriano zawahał się chwilę: uspokojony zupełnie chciał już odejść, ale to wyprawienie panny służącéj obudziło jego podejrzenia. Skoro już przyszedłem, pomyślał; lepiej raz skończyć aby uniknąć dalszych nieporozumień; rzekł więc do Baptysty.

— Idź zapukaj i spytaj się czy mogę wejść.

Służący zapukał lekko do drzwi, ale Sara nic się nie odezwała. Zapukał mocniej. Cipriano który stał za nim, uczuł że mu włosy powstają na głowie. Zaczął sam gwałtownie pukać do drzwi, wołając głośno:

— Saro!... otwórz... to ja... Cipriano...

Żadnej odpowiedzi. Przyłożył ucho do drzwi i zaczął nadsłuchiwać... nic nie słychać... nikt nie porusza się w pokoju.

Wtedy, z pomocą Baptysty chciał drzwi wyważyć, ale pomimo największych wysileń nie mogli tego dokazać.

Przerażony do najwyższego stopnia, hrabia zapytał Baptysty:

— Jak dawno pani zamknęła się w tym pokoju?

— Będzie temu więcej jak dwie godzin, odpowiedział.

— Nieszczęsna!... odebrała sobie życie... już umarła!... ratunek jest niemożliwy. Biegnij jednak jak najprędzéj po najbliższego ślusarza, niech przyniesie wytrychy do otwarcia drzwi... tylko, na miłość boską! leć, nie trać ani minuty...

Przestraszony Baptysta, przeskakiwał po kilka schodów, narażając się na skręcenie karku, a Cipriano wołał z góry:

— Śpiesz się!... śpiesz, przez litość!... a gdy już służący znikł mu z oczu, zgnębiony nawałem strasznych myśli cisnących mu się do głowy, na wpół żywy padł na krzesło.

Po kilku minutach, które wydały mu się długie jak wiek, wstał i podszedłszy pod drzwi, zaczął nasłuchiwać; najlżejszy szmer nie dawał się słyszeć; zrozpaczony uderzał we drzwi pięściami i nogami, ale nie ustąpiły. Zbliżył się do okna zobaczyć czy nie nadchodzi ślusarz i znów wrócił do drzwi, wołając rozpaczliwie:

— Saro!... Saro!... otwórz... to ja... na miłość boską, odezwij się!... Saro!... Saro!... a! co za przerażające milczenie!...

Nadszedł nareszcie ślusarz, otworzył drzwi i natychmiast rozszedł się duszący odór kwasu węglowego. W mgnieniu oka otworzyli okno; Cipriano osłupiał patrząc na straszny widok przedstawiający się jego oczom. Sara Yves, biało ubrana, leżała na łóżku bezprzytomna; długie, rozpuszczone włosy spadały na jéj ramiona, zaciśnięte spazmami zadusznia. Nadzwyczajna bladość twarzy, uwydatniała siniaki rysujące się pod zapadłemi oczami: oczy i usta były otwarte, ręce wyciągnięte, miała na palcu pierścionek ze szmaragdem dany jej na pamiątkę od Cipriana, którego portret, widać wypadły z rąk, leżał na łóżku. Na środku pokoju stała fajerka na której dopalała się reszta węgli. Świadkowie téj okropnéj sceny, chcieli unieść nieco nieszczęśliwą aby łatwiej mogła odetchnąć, ale głowa ciężko opadła na ramiona, ręce obwisły bezwładnie. Skrapiali twarz jej zimną wodą, dawali wąchać otrzeźwiające krople — wszystko nadaremnie. Litość brała patrzéć na tę kobietę tak młodą i piękną, leżącą bez życia.

— Prędzej! prędzej! doktora! wołał do służącego który znów pobiegł jak strzała, a Cipriano odprawił ślusarza, wynagrodziwszy go hojnie, i zalecając aby nie rozgłaszał po mieście strasznego tego wypadku. Chłopiec odszedł obiecując milczeć a Cipriano we dwie godzin po ślubie, został sam jeden w opustoszałym domu, trzymając w objęciach mar-

twe zwłoki kobiety w którą wpatrywał się rozpaczliwie, znękany najposępniejszemi myślami.

Nareszcie przyszedł doktór; objaśniony przez Baptystę o strasznym wypadku, zabrał z sobą amoniak, ale ten żadnego nie wywarł skutku. Bicie pulsu ustało. Przyłożył ucho do serca i powątpiewająco poruszył głową. Daremnie także probował podbudzić osierdzie (diafragmę) aby wzbudzić oddychanie. Cipriano pomagał mu jak mógł nie spuszczając z niego oka, chcąc z twarzy doktora wyczytać jego myśli. Po wszelkich możliwych środkach ratunku, zastosowywanych długo bezskutecznie, udało się nareszcie doktorowi wzbudzić słabe bicie serca; niezadługo potem puls zaczął uderzać słabo i powieki nieco zadrgały.

— Zdaje się że może uda się ją ocalić, rzekł doktór chcąc dodać odwagi i pocieszyć hrabiego który był blady jak chusta; ale upłynie jeszcze najmniej godzina, zanim będzie można powziąść uzasadnioną tego nadzieję.

A nareszcie widząc że młoda kobieta odzyskuje zmysły, zalecił hrabiemu jak największą ostrożność.

— Nie mów jej pan o niczem coby żywsze wrażenie wywołać mogło... chora potrzebuje jak największego spokoju... unikać należy wszelkich wzruszeń... jeszcze z jakie kilka godzin uczuwać będzie gwałtowny ból w głowie i ogromne osłabienie.

Gdy pokój został dostatecznie przewietrzony, doktór kazał pospuszczać story i firanki dla przyćmienia światła i trzymając ręką za puls:

— Zaczyna powoli przychodzić do siebie, rzekł do hrabiego; jakoż rzeczywiście muskuły twarzy zaczynały drgać, zaciśnięte zęby rozsunęły się i zwolna podniosła powieki.

— Gdzie ja jestem? wyszeptała: skutkiem odrętwienia zmysłów pamięć nie wróciła jej jeszcze.

— Co panią boli? zapytał doktór.

— Głowa... bardzo... bardzo boli... i w piersiach taki ból...

Podniosła ręce powoli, jedną przesunęła po czole, otworzyła oczy, patrząc z zadziwieniem na nieznanego sobie sobie zupełnie doktora... potem spojrzała w drugą stronę i zobaczyła hrabiego Cipriano... Wpatrywała się w niego uważnie, jakby pragnąc koniecznie przypomnieć sobie co niewyraźnie szkicowało się w jej umyśle, i znowu zamknęła oczy, dwie wielkie łzy spłynęły po jej twarzy, i zawołała:

— Ach! czemuż nie daliście mi umrzeć!

Nikt nic nie odpowiedział... doktór nie wiedział co było powodem samobójstwa i nie znał hrabiego — więc milczał. Cipriano nie śmiał przemówić: w tej chwili przełożyłby śmierć nad obecne swoje położenie. W kilka chwil później, Sara wsparła się na łokciu, podniosła głowę jakby nagłą i bolesną rozbudzona myślą, popatrzyła w oczy Cipriana i zapytała:

— Czy jesteś już ożeniony?

To pytanie dozwoliło doktorowi pochwycić wątek dramatu; zrozumiał jak wielkie znaczenie mieć może odpowiedź na to pytanie i z obawy złych następstw, dał znak hrabiemu aby odpowiedział przecząco.

— Nie... odrzekł wahając się Cipriano!

— To nieprawda! oszukujesz mnie! zawołała Sara, czytająca prawdę z jego oczu, i jednocześnie wydała bolesny jęk i opadła na poduszki, wołając:

— Ja chcę umrzeć!... dozwólcie mi umrzeć!... nie zdołacie temu przeszkodzić...

To powiedziawszy zaczęła szarpać koronki zdobiące jej negliż i zaraz dostała bardzo gwałtownego nerwowego ataku. Doktór napisał receptę i posłał do apteki, a zwracając się do hrabiego, rzekł:

— Poczucie boleści jest oznaką że życie powraca, ale trzeba postępować bardzo ostrożnie, bo choć udało się zniweczyć zgubne następstwa pierwszego samobójstwa, mogłaby dopuścić go się powtórnie. Zdarzają się organizmy podpadające tej manii w razach niepowrotnych nieszczęść. Teraz zdaje się spokojniejsza, ale nie można temu dowierzać, jest to jedynie skutek osłabienia oddziaływającego na podbudzenie nerwów, gdy cokolwiek odzyska siły, mogłaby znów godzić na swoje życie.

Wejście Baptysty przynoszącego lokarstwo, przerwało mowę doktora; sam podał go chorej a potem rzekł znów do hrabiego:

— Trzeba dawać chorej łyżkę co pół godziny — ale aby módz obiecywać sobie zbawienny skutek, koniecznem jest aby starania moralne przyszły w pomoc medycynie, w przeciwnym razie za nic nie ręczę.

Cipriano odprowadził doktora na bok, chcąc rozmówić się z nim tak aby Sara nie słyszała, lecz gdy odsuwał się od łóżka wydała krzyk rozpaczy i rzuciła się ku niemu chcąc go powstrzymać. Wrócił natychmiast, ale skutkiem silnego wstrząśnienia nastąpił znowu gwałtowny atak nerwowy.

Tym razem doktór zaledwie po długich staraniach zdołał ją uspokoić; po ataku nastąpiło wielkie osłabienie i bezwładność, wtedy doktór rzekł cicho do hrabiego:

— Stan tej biednej kobiety jest nader grźony; ocalenie j j od pana głównie zależy... nie powinieneś odstępować jej ani na chwilę.

Hrabia zadrżał i odpowiedział zmięszany.

— Żądasz odemnie niepodobieństwa, doktorze — a wyprowadzając go do przyległego pokoju, dodał: Znajduję się dziś w tak trudnem położeniu, iż bez nader ważnych następstw godziny dłużej zabawić tu nie mogę. Proszę najusilniej, pozostań pan przy tej nieszczęśliwej kobiecie... ja muszę oddalić się jak najprędzej.

— Kochany panie, odrzekł doktór, niepodobna mi zadość uczynić jego żądaniu; mam chorych niebezpiecznie których zaniedbywać nie mogę. Powiem panu otwarcie że ani ja ani żaden z moich kolegów nic tu już nie poradzi, jeżli nie zostanie usunięty powód który biedną tę kobietę popchnął do samobójstwa. Nie znam przyczyn jakie przywiodły ją do tej ostateczności, ale widzę jak wielki wpływ pan wywierasz na nią... od pana zatem zależy jej śmierć lub życie. Organizm chorej jest w stanie nader silnego rozdrażnienia; jak tylko pan odsuniesz się trochę od łóżka, puls przyśpieszonym zaczyna bić tentnem i nie mogę przewidzieć do czegoby dojść mogło, gdyby, ocknąwszy się z tego odrętwienia, nie widziała pana przy sobie... wtedy byłbyś pan odpowiedzialnym za wszelkie następstwa.

Zrozpaczony Cipriano opowiadał doktorowi w jakich znajduje się okolicznościach, a gdy oznajmił że jest hrabią Castelbreno i że przed kilku godzinami zaślubił hrabiankę Bertę d'Anzano, oczekującą na niego w Monza — doktór zdziwiony niewymownie, odrzekł:

— Rzeczywiście jest to położenie wyjątkowe: pojmuję całą ważność okoliczności w jakich się pan znajdujesz... młoda żona ma prawo do największych względów... ciążą na panu dwa nader ważne obowiązki... nie śmiem nic radzić.

— Przeciwnie, błagam pana, powiedz mi co mam czynić... nie opuszczaj mnie... ja głowę tracę... chyba oszaleję.

— Skoro pan hrabia żądasz koniecznie, więc dam mu poznać to co myślę. Nietylko jako doktór ale i jako człowiek jestem zdania że powinieneś pan zostać tam gdzie większe zagraża niebezpieczeństwo... Tu idzie o życie... jeżli ta młoda i piękna kobieta umrze, któż będzie przyczyną jéj śmierci? Pojmujesz pan zapewnie że masz obowiązek nagrodzić złe wyrządzone, aby uchronić się od wyrzutów sumienia a nadto i od głośnego skandalu... boć wiadomo panu że w razie śmierci tej pani musiałbym z obowiązku złożyć o tem sprawozdanie władzy, z czego wyniknęłoby śledztwo i sprawa... w którą niechybnie wmięszałyby się dzienniki... Rozumiem ja to dobrze iż w nader trudnem znajdujesz się pan położeniu... w sam dzień ślubu opuścić żonę dla kochanki!... ale jakże wyjść z tego?... Wszak pan sam winien jesteś wszystkiemu — teraz nie ma rady z dwojga złego trzeba wybierać mniejsze. Powtarzam tu idzie o życie... Nie trudno panu będzie znaleźć pozór usprawiedliwiający cię przed żoną... tłómaczący opóźnienie przybycia... a cóż będzie jeżli pojechawszy dziś do niéj, zmuszony będziesz wracać jutro do Medjolanu, gdzie trup tej kobiety powołałby pana przed kratki sądu... Namyśl się pan nad tem... ja teraz muszę jechać... powrócę później... a może też pokaże się że dyabeł nie taki straszny jak się przedstawia z pierwszego wejrzenia.

— Cipriano!... Cipriano!... wołała Sara słabym głosem.

Doktór i hrabia zbliżyli się do łóżka.

— Głowa mi pęka... ogień pali w piersiach...

Doktór chciał podać jej łyżkę lekarstwa, odepchnęła jego rękę i rzekła wpatrując się w hrabiego.

— Ty jeden stanowić możesz o moim losie... życie moje w twoim ręku... Nie chcę żyć jeżli ciebie mam utracić... powiedz, powiedz, wydaj wyrok czy mam żyć czy umierać?...

— Bądź spokojna... nie dręcz się... odrzekł, i podał jej lekarstwo, prosząc aby go zażyła i nie martwiła go odmową. Wypiła jednym tchem i konwulsyjnie ścisnęła go za rękę.

Doktór zalecił ciszę i spokój i odjechał obiecując powrócić. We dwie godzin później hrabia zatelegrafował do żony, oczekującej go w Monza:

„Najzupełniej jest mi dziś niemożebne oddalić się z Mediolanu. Jedź sama do villi, mam nadzieję że przyjadę tam jutro. Miej mnie za wytłomaczonego."

„Cipriano."

IV.

Gdy się to dzieje, tak w Mediolanie jak pocztą rozesłane zostały listy zawiadamiające o zawartem małżeństwie. Doktór Valentino Gabrielli odebrał nazajutrz adresowany do niego, siedząc jak zwykle w swoim pokoju, otoczony stosem ksiąg, broszur i dzienników. Choć wiedział naprzód co list taki zawierać może, czytał go i odczytywał kilkakrotnie jak gdyby chcąc doszukać się jakiejś ukrytej myśli i zamyślił się długo. Nareszcie złożył list w kopertę i rzekł sobie:

— Jakkolwiek przyrzekłem Ciprianowi że przyjadę do villi Hortensia zaraz po otrzymaniu zawiadomienia o ich ślubie, jednak przez delikatność i wzgląd na młodych małżonków, nie pojadę aż za trzy dni"... I wziął znów książkę którą trzymał

w ręku w chwili odebrania listu i zaczął czytać... ale upłynęła godzina a jeszcze nie odwrócił stronnicy.

A cóż się pod ten czas działo w villa Hortensia?

Berta którą zostawiliśmy nad ranem stojącą w oknie swego pokoju, z oczami zwróconemi na drogę do Mediolanu, odeszła w głąb pokoju; panna służąca jej, Fiorina, spacerowała przed gankiem zatrzymując się raz po raz i spoglądając na ogrodnika kierującego robotami robotników, zajętych w tej chwili odsłanianiem roślin. Przyglądał się bacznie roślinom które zdawało się ucierpiały od nocnego chłodu, obcinał zwiędłe gałązki zatrzymując się niekiedy dla podziwiania najpiękniej ukwieconych. Zobaczywszy ładną garderobianę, Franciszek zapatrzył się na nią, po chwili odciął jedną różę i podał nieśmiało Fiorinie, wybąknąwszy jakiś komplement Odpowiedziała ośmielającym uśmiechem i spojrzeniem mówiącem wyraźnie:

— Dość mi się podobasz... kto wie co z tego będzie...

Ogrodnik sztywny i nieruchomy, wpatrywał się w nią mrucząc coś po niemiecku; i zrozumiała go widać choć zupełnie nie znała tego języka, gdyż odpowiedziała mu oczami:

— Jeźli chcesz dostać co w zamian za tę piękną różę, to się zbliż do mnie.

Ale on nie śmiał; westchnął tylko ciężko, odwrócił się i odszedł.

Widać i teraz zrozumiała, bo uśmiechnęła się złośliwie i powiodła za nim oczami gdy znikał w głębi alei.

O dziesiątej rano znowu nadszedł telegram, garderobiana natychmiast zaniosła go pani, która odebrała go nie okazując najlżeiszego wzruszenia; odprawiła Fiorinę i zamknęła się w swoim pokoju. Służący szeptali między sobą, czyniąc różne domysły o dziwnych tajemnicach odnoszących się do tego małżeństwa, i jak to najczęściej bywa, wszystko tłomaczyli sobie na przewrót. Nikomu nie wydano rozkazów; nie wiedzieli czy hrabia przybędzie i jakie przygotować śniadanie i obiad. Kucharz pogwizdywał w kuchni, lokaj trzepał meble choć w przeddzień były wytrzepane, stangret bawił się z kotem, Fiorina co chwila przeglądała się w lustrze, poprawiając wpiętą we włosy różę od ogrodnika—aż nareszcie usłyszano dzwonek z pokoju hrabiny. Fiorina pobiegła co prędzej, a reszta służby zebrała się przy schodach, aby prędzej się czegoś od niej dowiedzieć. Powróciła niebawem mówiąc kucharzowi aby przygotował dla pani hrabiny śniadanie, i posłał je do jej pokoju.

— A cóż pani hrabina kazała sobie podać? zapytał.

— Co kucharz chce—tak odpowiedziała pani na moje pytanie.

Kucharz pokiwał głową, rozłożył holenderską serwetę na srebrnej tacy, ustawił na niej kosztowne talerze z serwskiej porcelany, solniczkę, kieliszek do jaj, kryształową szklankę, kieliszek, nakrycie i butelkę Bordeaux, a na drugiej tacy zastawił kilka wyszukanych potraw przyrządzonych na wczorajszy obiad, ugotował kilka jaj na miękko, dodał wety i posłał to wszystko do pokoju hrabiny.

Fiorina i służący ponieśli obie tace; wszedłszy do pokoju hrabiny uważali że miała czerwone oczy, choć wszelkiemi sposobami starała się to ukryć. Nie spojrzawszy prawie na wszystkie przysmaki, zjadła pare jajek i wypiła pół kieliszka wina, i kazawszy sprzątnąć, zawołała Fioriny aby ją ubierała. Skończywszy skromną toaletę, zeszła na dół i oznajmiła służbie iż ponieważ nie można jeszcze oznaczyć czasu przybycia hrabiego, sama wyda im rozkazy odnoszące się do zajęć domowych, i jak najdokładniej oznaczyła każdemu co i kiedy ma robić, poczem wziąwszy parasolik wyszła przejść się po parku. Franciszek szedł za nią z daleka, chcąc zobaczyć jakie wrażenie zrobią na niej jego kwiaty, ale widział z boleścią że ani jednem spojrzeniem nie raczyła ich zaszczycić. Przesuwała się jak widziadło po alejach parku; obojętna na wszystko co ją otaczało, szła ze spuszczoną głową, z obłąkanym wzrokiem, blada i zamyślona, jakby żywe uosobnienie najgłębszego smutku.

Zaślubiona od dwóch dni a sama jedna na świecie!... sama prawie od chwili ślubu... ni panna ni mężatka... tajemnicza i upokarzająca teraźniejszość zapowiadała jej niepewną i smutną przyszłość!...

Odczytywała kilkakrotnie krótki odebrany rano telegram, starając się koniecznie wytłomaczyć sobie co mógł oznaczać, ale tyle tylko mogła z niego zrozumieć; że mąż jej nie przybędzie dziś a może ani jutro... lecz nie podobna było dojść prawdziwego powodu tego niepojętego postępowania.

Zatopiona w tych gorzkich rozmyślaniach, szła bez celu nie wiedząc gdzie idzie, i doszła tak do końca parku; tu brama była otwarta; minąwszy ją dostała się do lasku a z niego na wzgórze. Na jego szczycie sterczały ruiny starożytnego zamku: stanąwszy u stóp wieży, podniosła głowę i wpatrywała się z uwielbieniem w przepyszny krajobraz roztaczający się przed jéj wzrokiem. Z tej wyżyny panującej nad okolicznemi wzgórzami, można było widzieć jeziora Pusiano, Annone Lecco i niezmierzoną płaszczyznę zdającą się dotykać nieba. Świat wydawał jej się bezmierną pustynią; wśród tej zupełnej samotności i tak grobowego milczenia, uczuła całą gorycz swego osamotnienia. Tak samotna!... a ma zaledwie lat dwadzieścia!... a wczoraj ślubną wykonała przysięgę!... Przypomniała sobie matkę i usiadłszy na omszonych zgliszczach, długo, długo płakała. Postać matki ukazała jej się jakby we śnie, słyszała jej głos, jej nauki i przestrogi... Gdyby żyła ta dobra, ukochana matka, małżeństwo to nie miałoby miejsca; wiedziona miłością macierzyńską, byłaby umiała czytać w sercu starającego się o rękę jej córki, przeczułaby oczekujące ją nieszczęście, i umiała uchronić od niego. Opiekunowie tylko na stronę zewnętrzną zwrócili uwagę, matka byłaby wniknęła w grunt rzeczy. Straciwszy dobrą, ukochaną matkę, straciła wszystko. pozostało jej tylko święte wspomnienie jej rad, jakie dziś stają się jedynem jej na świecie przewodnikiem. Matka zaszczepiła w jej sercu zamiłowanie cnoty i sprawiedliwości, wpoiła przekonanie że spokój sumienia jest jedyną dźwignią podtrzymującą nas w nieszczęściu; wyrobiła w niej hart duszy dozwalający przetrwać najcięższe próby i największe cierpienia, znosić je z godnością jaka wrogom nawet nakazuje poszanowanie, głęboką wiarę i pewność że na świecie wszystko jest znikome i przemijające tak złe jak dobre, oraz rezygnacyę i poddanie się losowi, w nadziei że za tą łez doliną znajdziemy wieczny spokój, i niezachwianą wiarę w nagrodę wieczną i nieśmiertelność duszy...

Rozmyślając nad tem w samotności, odzyskała moc duszy której tak bardzo potrzebowała w swojem szczególniejszem, pełnem niepewności położeniu: poddała mu się z odwagą, postanawiając sobie walczyć mężnie, jeźli niepodobna będzie uniknąć walki, i zasłużyć na ogólny szacunek, bez względu jaka czeka ją przyszłość.

Umocniona tem postanowieniem, wróciła do pałacu znacznie uspokojona; twarz jej była spokojniejsza, cała postawa zdradzała osobę czującą że godność jej zależy od niej samej a nie od innych, i umiejącą wzbudzić dla siebie szacunek bez względu na to w jakiem znajduje się położeniu.

O naznaczonej godzinie weszła do sali jadalnej, gdzie podano obiad, jak gdyby nigdy nie spodziewano się nikogo więcej. Po obiedzie kazała przywołać ogrodnika, obeszła ogród i teraz Franciszek był zupełnie zadowolony. Hrabina nie mogła się dość nachwalić jego gustu i znajomości swego zawodu; pozwoliła przenieść do cieplarni rośliny którym chłód nocny mógł zaszkodzić; powiedziała mu że bardzo lubi kwiaty, znała nazwy wszystkich prawie, umiała ocenić ich rzadkość i wiedziała jak które trzeba chodować. Wróciwszy do pałacu, wydała rozporządzenia na dzień następny i wcześnie przeszła do swego pokoju.

Nazajutrz rano, Franciszek uszczęśliwiony wczorajszem swojem powodzeniem i odebranemi od hrabiny pochwałami, palił sobie spokojnie fajkę w oranżeryi, gdy w tem ukazała się w niej Fiorina, skacząc pomiędzy kwiatami jak ptak po gałęziach.

— Dzień dobry, panie Franciszku, jak tu miło w téj cieplarni... jaki piękny ten ogród zimowy... Doprawdy zazdroszczę panu; jakże jesteś szczęśliwy pędząc tak życie pomiędzy kwiatami... dziś całą noc myślałam o tem!...

Patrzył na nią zachwycony, a miły jej głos brzmiał mu w uszach jak muzyka Mozarta. Brakło mu głosu, nie umiał przemówić, oczy tylko wyrażały pełne uszanowania uwielbienie; nasyciwszy się jej widokiem, rzekł nareszcie:

— Więc panna Fiorina lubi kwiaty?

— O! bardzo, zdaje mi się że nie ma na świecie nic piękniejszego.

— Prócz panny—rzekł Franciszek.

— A! jaki pan Franciszek grzeczny! zawołała, rzucając na niego ogniste spojrzenie, które zdawało się mówić: ogrodnik podoba mi się daleko więcej niż kwiaty—ale powiedziała to tylko oczami a nie ustami.

Franciszek był z natury bardzo nieśmiały, a szczególniej z kobietami — może dla tego że nie umiał wyrazić swych myśli. W tej samotnej ustroni widywał tylko proste wieśniaczki, tak więc ładna mediolańska panna służąca robiła na nim wrażenie księżniczki, co naturalnie onieśmielało go jeszcze więcej.

Fiorina postrzegła z wielkiem zadowolnieniem jakie wrażenie zrobiła na ogrodniku, i zamierzała uciec się do szatańskiej zalotności aby zawrócić mu głowę i zmusić do wyznania że się w niej zakochał szalenie. Ale poczciwy Tyrolczyk im więcej kochał tem mniej okazać i wysłowić to umiał, miłość zamykała mu usta; nie wiedząc jak sobie radzić obierał kwiaty za tłomaczy swych uczuć, i zrywał najpiękniejsze aby je ofiarować Fiorinie.

— Ślicznie dziękuje, mówiła. Jakże pan jesteś grzeczny... postawię te kwiaty w moim pokoju, aby mi przypominały pana Franciszka—jeźli tylko wolno myśleć o nim... bez narażenia się na to żeby jakaś zazdrośnica wydrapała mi oczy.

— Nie ma co się tego lękać... możesz panna być pod tym względem zupełnie spokojna, odrzekł ogrodnik

(d. c. n.)

Opis do N-ru 2.

N. 1. Kapelusz z popielatego filcu.

Fason ten zwany „kabriolet“ ma rondo odstające od głowy, podszyte marszczonym atłasem; brzegiem dany sznur jedwabny. Zwierzchnie przybranie stanowią trzy popielate i cztery ponsowe jedwabne kulki zwane ‚pompon‘ i długa koronkowa barbka przeprowadzona z tyłu główki i związana pod szyją.

N. 2. Kapelusz aksamitny.

Ma formę kapotki z czarną główką a rondkiem fałdowanem, podszytem również fałdowanym skosem aksamitnym. Atłas w tym co aksamit kolorze i dwa małe piórka stanowią przybranie.

N. 3. Kapelusz czarny aksamitny.

Zamiast cienkiej koronki bretońskiej, którą tak suto garnirowano letnie kapelusze, przy zimowych aksamitnych używaną jest koronka prawdziwa naszyta na rondku podług ryc. 3. Dalsze przybranie stanowi skos atłasowy i 2 białe strusie pióra.

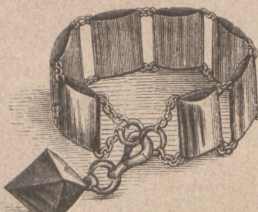
N. 1. Kapelusz z popielatego filcu z koronkowemi końcami.

N. 2. Kapelusz aksamitny.
N. 4. Kreza z wstążki i koronki.

N. 3. Kapelusz aksamitny z koronką.

N. 5—9. Biżuterye modne i wachlarz z łańcuszkiem.

Bransoletka ryc. 5 odrobiona jest ze szlifowanej stali i spięta za pomocą haczyka ozdobionego brelokiem. Rycina 6 — 7 przedstawia bardzo modną obrączkę do zapinania krawatki, obecnie takie obrączki stanowią nowość dość się rozpowszechniającą i wyrabiają je z rozmaitych metali. Za pomocą sprężyny danej od środka dają się z łatwością zamykać lub otwierać. Na ryc. 8 — 9 widzimy łańcuszek (châtelaine) delikatnie wyrobiony ze stali, służący do zawieszenia wachlarza, rzeźbionego z czarnego dębu i wyklejonego modną turecką materyą.



N. 5. Bransoletka srebrna.

N. 6—7. Kółko do zapinania krawatki, otwarte i zapięte.

N. 10. Ubranie balowe ze stanikiem bawetowym. Patrz ryc. 20 w N-rze 1.

Odrobione z blado-niebieskiego tarlatanu i takiegoż atłasu, składa się z suto ubieranej spódnicy i stanika z bawetem, sznurowanego z tyłu. Przybranie stanika stanowią dwa skosy atłasowe po 18 cent. szerokie ułożone w fałdki, z tyłu upięte na kształt bufy, na ramionach przytrzymane kokardami z kwiatami, niżej rozchodzące się jak bretelki, na środku zaś nad bawetem przemarszczone drobniutko i złączone z sobą. Przód stanika zagarnirowany riuszami tiulowemi i pukielkami z wstąż-

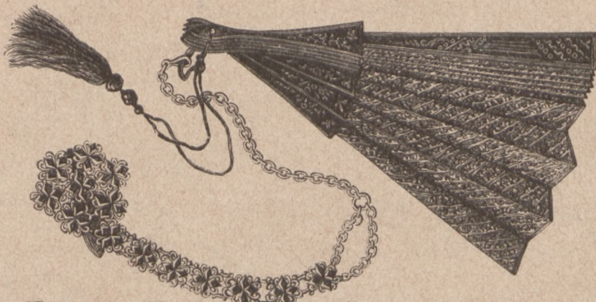


N. 10. Suknia z bawetowym stanikiem.

N. 11. Suknia z bluzkowym stanikiem.



N. 12. Suknia wizytowa z vêtement. Patrz rycina 58 i 7—18. Krój na arkuszu Nr IX, Fig. 36.



N. 8—9. Wachlarz i łańcuszek do zawieszania (châtelaine).

N. 4. Kreza z wstążki i koronki.

Blado-niebieska atłasowa wstążka, 8 cent. szeroka, oszyta z brzegów wąziutką koroneczką i ułożona w kontrafałdy, stanowi sutą krezę związana na długie, 3 cent. szerokie końce. Kreza taka z czarną lub białą koronką służy jako dopełnienia toalety na koncert lub do teatru.

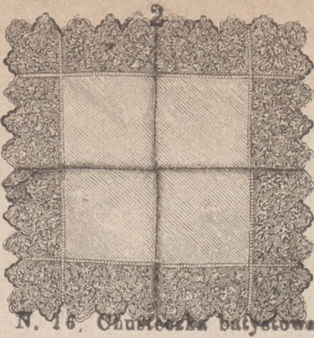


N. 13. Suknia strojna wizytowa z krótkim stanikiem i kamizelką. Patrz ryc. 59.

ki; takież zakończenie z brzegu bretelek i u dołu rękawów. Suknia przybrana podług ryc 20 w N. 1 ma draperyę zakończoną frendzlą z konwalii.



N. 14. Kokarda do kołnierzyka z koronką malowaną.



N. 16. Chusteczka batystowa z jedwabnym szlakiem.

tegoż koloru. Rękawy można wykończyć podług rycin 17 — 18; vêtement tworzące krótki panier z przodu, dopełnione jest fałdowanym, w rząd ście



N. 15. Kokarda z koronki i wstążki.



N. 17. Rękaw do sukni.



N. 19. Kołnierz futrzany z mufką. Patrz ryc. 26 w N. 1.



N. 22. Kapotka z chustki. Patrz ryc. [illegible] 40. Sposób upięcia wskazany na arkuszu Nr X, Fig. 37.

N. 20. Kołnierz futrzany.

N. 18. Rękaw do sukni.



N. 21. Kapelusik futrzany dla małej dziewczynki.

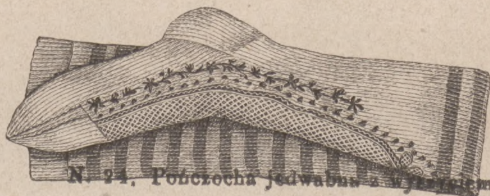
N. 11. Ubranie balowe ze stanikiem bluzkowym. Patrz rycina 19 w N-rze 1.

Lekka, powiewna suknia z białego tiulu, przemarszczona w poprzeczne bufy, u dołu zakończona szerokiem plisowaniem, dopełniona jest draperyą z tiulu lub atłasu, z przodu tworzącą rodzaj panier z tyłu spuszczoną podług ryc. 19 w N. 1. Stanik bluzkowy ma z przodu plastron z przemarszczanego atłasu; przybranie stanika dane z illuzyi, stanowi z przodu bufki po 8 cent. szerokie, u góry zaś przy wykroju stanika dane wachlarzowe garnirowanie 5 cent. szerokie, przyszyte plisą atłasową. Kokardy i pasek z białej atłasowej wstążki.

tym brytem, skośnie przypiętym na spódnicy, która z boku naszyta jest plisowaniem i falbankami wyciętemi w zęby. Bryt dopełniający plecy vêtement podpina się podług Fig. 36 i ryc. 58. Brzegi vêtement objęte aksamitem i oszyte zębami; kokardy z materyi.

N. 13 i 59. Ubranie strojne wizytowe z krótkim stanikiem i kamizelką.

Wiśniowy reps jedwabny, tegoż koloru ciemny gładki i deseniowy aksamit, czarna koronka i szlaki haftowane wiśniowym jedwabiem na czarnej jedwabnej gazie stanowią materyał na to wytworne ubranie. Spódnica z małym trenem ma u dołu plisowaną aksamitną falbanę 15 cent. szeroką, środkiem zaś przedniego bryta dany plastron aksamitny sięgający aż do paska. Draperya na brytach bocznych składana w głębokie fałdy, suto ozdobiona puklami z aksamitki 8 centym. szerokiej i upięcie z tyłu



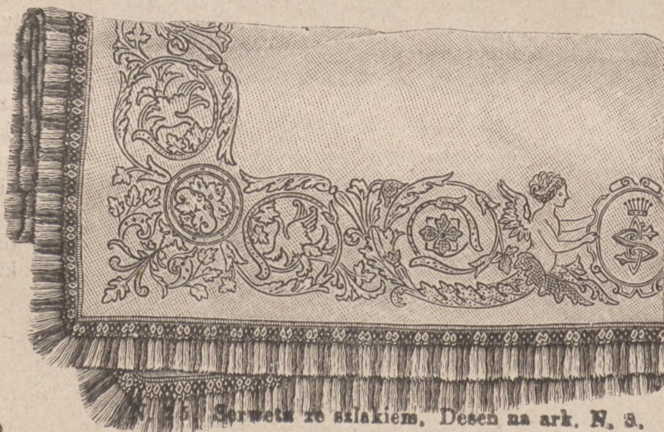
N. 24. Pończocha jedwabna z wyszyciem.



N. 28. Ubranie dla panienki lat 12—14. Patrz ryc. 29. Krój na ark. Nr III, Fig. 14—19.



N. 26. Bucik do strojnego wizytowego ubrania.



N. 25. Serweta ze szlakiem. Deseń na ark. N. 5.



N. 23. Wyszycie krzyżykowe do ryc. 22.



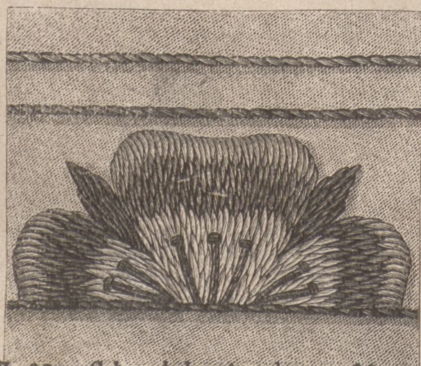
N. 27. Bucik do spacerowego ubrania.



N. 29. Ubranie dla panienki lat 12—14. Patrz ryc. 28.

N. 12, 17—18 i 58. Suknia z vêtement. Krój na arkuszu Nr IX, Fig. 36.

Eleganckie to ubranie wizytowe odrobione jest z ciemno-zielonego jedwabnego repsu i przybrane aksamitem



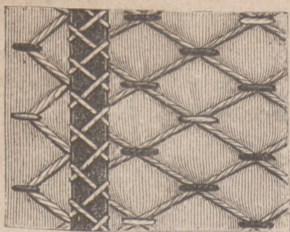
N. 30. Szlaczek brzeżny do ryc. 30.



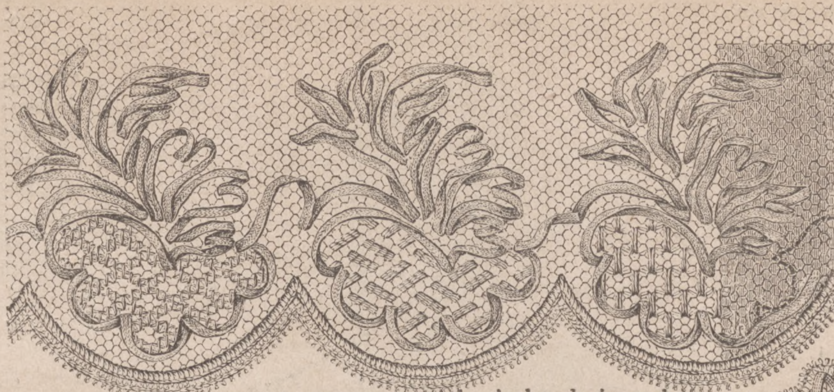
N. 30. Kołderka do kolebki. Haft płaski. Patrz ryc. 31 i Fig. 38 na ark.

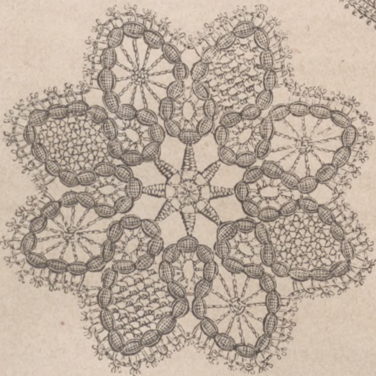


N. 32. Szlak malowany na drzewie lub rzeźbiony.


N. 33. Szlaczek brzeżny do ryc. 28 w N-rze 1.

sukni dane z prostego bryta oszyte jest piękną hiszpańską koronką 10 c. szeroką. Części panier wpuszczone z boków na szwach sukni dane z desenioweg aksamitu, oszyte są haftowanym szlakiem i koronką. Stanik z gładkiego aksamitu na jedwabnej podszewce, wycięty z brzegów w greckie zęby, ma plecy przedłużone w fałdowane karoczko, a przody rozchodzące się podszyte szlakiem haftowanym i koronką, i dopełnione koronkową kamizelką. Rękawy z deseniowego aksamitu z gładkiem obłożeniem, oszyte szlakiem i koronką. Rycina 59 przedstawia suknię z różowego muślinu, suto przybraną koronką ze stanikiem atłasowym.


N. 35. Koronka wyszyta na tiulu cienką plecioneczką.

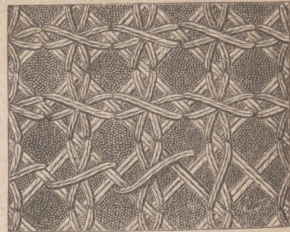

N. 36. Gwiazdka koronkowa na poduszeczkę, do czepeczka lub t. p. Patrz ryc. 15 w N. 1.


N. 38. Podnóżek. Patrz ryc. 34 i 39 Deseń na arkuszu Fig. 41.


N. 37. Gwiazdka koronkowa. Czwartą część patrz na ryc. 16 w N. 1.

N. 19. Kołnierz futrzany z mufką. Patrz rycina 26 w N. 1.

Rycina 19 przedstawia bardzo praktyczny kołnierz połączony wraz z mufką. Kołnierz na podszewce atłasowej ma formę dawnej wiktorynki, mufka zaś, jak to widać na ryc. 26 w N rze 1, od spodu jest zupełnie płaska, nie pokryta futrem lecz opatrzona kieszonką z klapką zapinaną.

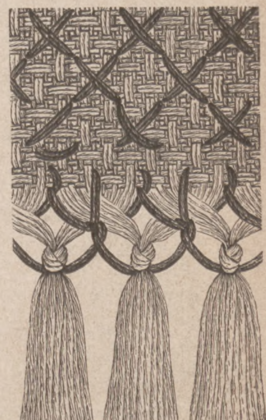

N. 34. Wyszycie tła w deseniu do ryc. 38.

N, 22 — 23 i 40. Kapotka z chustki. Krój na arkuszu N. X, Fig. 37.

Do upięcia kapotki potrzeba chustki z białej wełnianej kanwy Jawa, mającej 100 cent. w kwadrat z frendzlą 6 cent szeroką, ozdobiąnej wyszyciem ściegiem jednakowym na dwie strony, filozelą blado-różową. Ryc. 23 wskazuje mniejszą trójkątną figórę deseniu; rycina 40 podaje sposób wiązania frendzli filozelą; na Fig. 37 załączamy w maleńkim formacie wskazanie upięcia chustki, którą potrzeba najpierw złożyć trójkątnie podług linii kropkowanej, później zaś upiąć w fałdy podług ryciny 22. Fałdy zbierające kapotkę w tyle oznaczone są na Fig. 37. Kokardy ze wstążki różowej 5 cent. szerokiej.

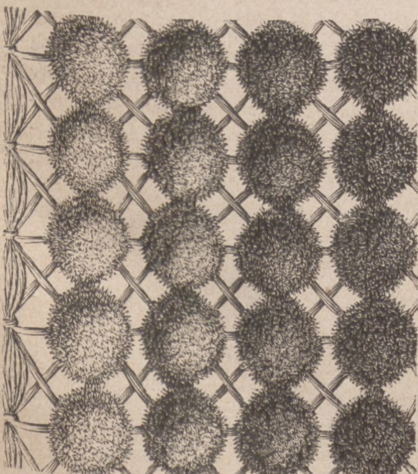

N. 39. Wiązanie ściegu sznureczkowego do ryc. 38.


N. 41. Suknia z paletotowym stanikiem. Patrz ryc. 44. Krój na arkuszu Nr VII, Fig. 33—34. N. 42. Suknia ze stanikiem przybranym bawetowo. Patrz ryc. 43 i 54. N. 43. [illegible] brana koronką. Patrz ryc. 42. N. 44. Suknia z paletotewym stanikiem. Patrz ryc. 41.


N. 40. Frendzla do ryc. 22.

N. 14. Kokarda z koronką malowaną.

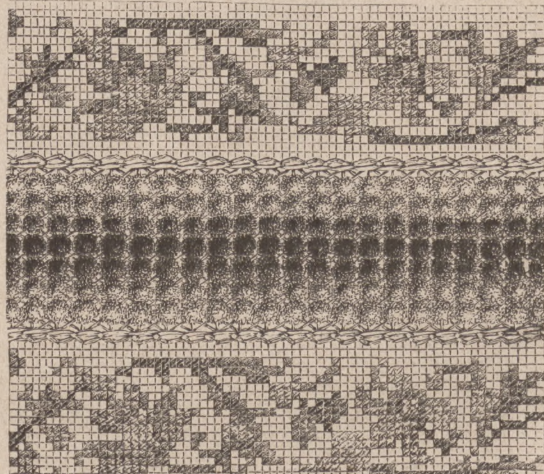
Składa się z czterech muślinowych pukli, spiętych broszką okrągłą i oszytych 4 cent. szeroką walansjenką, malowaną wodnemi farbami (w kolorze blado-ponsowym, niebieskim, bronzowym, oliwkowym) i złotem. Dwa zwierzchnie puknie ułożone ze skosów po 18 cent. długich a 10 szerokich złożonych we dwoje w w ten sposób że spodnia połowa wystaje na dwa cent. szerzej. Na drugie 2 pukle trzeba skosu 11 c. dłuższego i 10 szerszego.


N. 47. Pas z kulek robotą w ramach do ryc. 45.

N. 15. Kokarda z koronki i wstążki.

Ułożona jest ze wstążki 6 cent. i koronki 7 cent. szerokiej; na pukle 7 i 8 cent. długie trzeba zeszyć koronkę.

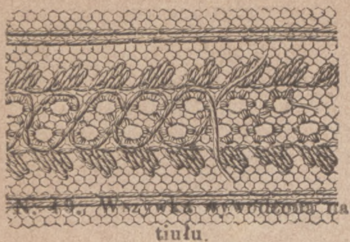

N. 46. Próbka wełnianej kanwy Jawa do ryc. 15.


N. 45. Pasy robotą w ramach i wyszywane na wełnianej kanwie Jawa. Patrz ryc. 46—48.

N. 25. Serweta z haftowanym szlakiem. Deseń patrz N. 5 na dodatku.

Szeroki i efektowny szlak, jakiego części podajemy w naturalnej wielkości na lewej stronie arkuszu z krojami, pod Nr 5. jest dość pospieszny w robocie gdyż wycina się go z materyału odmiennego od tła i aplikuje na serwecie, przyszywają


N. 48. Pas szydełkowy z wyszyciem na serwety lub t. p. Patrz ryc. 45.



N. 49. Wszywka wywiedziona na tiulu.

ściegiem sznureczkowym. Środki figur zapełniają się różnemi rodzajami ściegu luźnego; na środku tarczy trzeba zmieniać monogram odpowiednio do nazwiska z trzech zaś innych stron dać arabeskę, datę i rok lub bukiecik na środku tarczy.

N, 28—29. Ubranie dla panienki lat 12 — 14. Krój na ark. Nr III, Fig. 14—19.



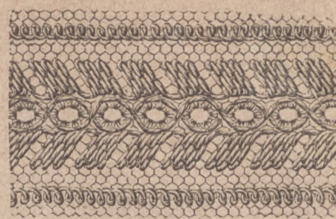
N. 52. Stanik frakowy z kamizelką. Patrz ryc. 53. Krój na arkuszu Nr I, Fig. 1—7a.



N. 51. Stanik bawetowy [illegible]owego ubrania ryciny 21—22 w N-rze 1. Krój na arkuszu N. II, Fig. 8—12.

wyżej spięte na kryte haftki.

W podobny sposób ufałdowane boki przyczepiają się do pleców u dołu założonych w kontrafałdę; mankiety dopasowane podług odpowiednich liter dopełnione są plisowaniem. Fig. 8b daje formę kołnierza oszytego 3 centym. szeroką falbanką; piękne guziki szmuklerskie stanowią przyozdobienie.



N. 50. Wszywka wywiedziona na tiulu.



N. 53. Stanik frakowy z kamizelką. Patrz ryc. 52.

Składa się ze spódnicy oszytej 13 cent. szerokim plisowaniem; przód i boki naszyte są powtórnie plisowaniem 56 cent. szerokim przestębnowanem w odstępie 9 cent. od dołu i wyżej dwa razy. Rozmiar gładkiego bryta upiętego z tyłu wskazuje (d) na Fig. 19; boczne jego brzegi wpuszczone są na szwach sukni, brzeg górny wszyty w pasek wraz z suknią a dolny trochę zaokrąglony, zakończony jest wypustką. Fig. 13 — 18 podaje w naturalnej wielkości krój vêtement a Fig. 13a—18a wskazują zestawienie formy wraz z kołnierzem Fig. 18b; Fig. 15 trzeba dopełnić podług wskazanych miar. Pod plastron Fig. 14 kraje się najpierw podszewkę i na niej po zaszyciu w odpowiednich miejscach, fałduje się materyał zwierzchni, zsuwając fałdy najściślej na wcięciu stanu. Przody krajane w jednym ciągu z bokami przez założenie pięciu fałd u dołu skrócone są do długości plastronu i z lewego boku zszyte z nim w całej długości posuwając gwiazdkę do gwiazdki z prawego złączone tylko do dwukropka a



N. [illegible] Przód do ryc. 42. N. [illegible] Przód do r. 4 w N, 1.



N. [illegible] — 57. Suknia z gorsecikiem. Krój na arkuszu Nr IV, Fig. 20—23.

N. 30—31. Kołderka do kołyski haftowana płaskim ściegiem. Deseń na arkuszu Fig. 38.

Odrobiona jest filozelą rozdzieloną na trzy nitki, na miękkim kropkowanym materyale żółtawego koloru; listki i łodyżki są oliwkowego koloru w dwóch cieniach, kwiaty robią się trzema cieniami różowemi a w środku mają dodane z długich ściegów pręciki żółte z bronzowemi supełkami. Kwiatki przecięte na połowę stanowią szlaczek brzeżny załączony na rycinie 31; kołderka 92 cent. długa a 70 szeroka podwatowywa się lekko i podszywa bronzowym kaszmirem.

(d. n).



N. 58. Plecy do ryc. 12. N. 59. Plecy do ryc. 13.

TYGODNIK MÓD.

w Warszawie 1879 r.

Dodatek z krojami i deseniami do N. 1 i 2.

N. I. Stanik z frakową baskiną i kamizelką. Ryc. 52 i 53 w N. 2.

Miara objętości przez połowę: 45 cent. w gorsie, 32 w pasie.

Fig. 1. Połowa przodu zachodząca pod spód (kamizelka) (A, B, C, D, E, O, *, :) 1 założenie —— · ——
Fig. 2. Połowa przodu zachodząca na wierzch (A, B, C, D, E, O, P, +)
Fig. 3. Boczek przedni (C, D, E, F, G) —•— —•—
Fig. 4. Boczek tylny (F, G, H, I, K, L, ×, 1) 1 założenie —— • ——
Fig. 5. Połowa pleców (H, I, K, L, M, N, O, P, ·, · 1 do × 4 i · 4) 1 założenie ～～～
Fig. 6. Rękaw (C, Q, R, S) ⋊ ⋊ ⋊ ⋊
Fig. 7. Kołnierz (M, +) ⊢—⊣ ⊢—⊣

Fig. 1a—7a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju Fig. 1—7.

N. II. Stanik Ławetowy wycięty i spódnica pod suknię ryc. 21—22 w N-rze 1 i ryc. 51 w N-rze 2.

Miara objętości przez połowę: 48 cent. w gorsie, 29 w pasie.

Fig. 8. Przód (T U, Z, :) 1 założenie —•— —•—
Fig. 9. Boczek przedni (T, U, V, W, ·) + + + +
Fig. 10. Boczek tylny (V, W, X, Y) — o — o —
Fig. 11. Połowa pleców (X, Y, Z, :, × 5 i · 5 do × 7 i · 7) —•·•—
Fig. 12. Rękaw (*, ·) —— • —— • ——
Fig. 13. Wskazanie kroju połowy spódnicy pod suknię i mały format *a* połowa przodu, *b* klin boczny, *c* bryt tylny, *d* zmiejszony format.

N. III. Suknia dla panienki lat 12—14 (vêtement à panier i spódnica). Rycina 28—29 w N-rze 1.

Fig. 14. Plastron (a, s, :, *) 1 założenie
Fig. 15. Przód i boczek (a, b, c, d, e, k, l, m) —— —— ——
Fig. 16. Połowa pleców (d, e, f, g, h, i, k, l, × 8 i · 8 do × 9 i . 9) ++++++
Fig. 17. Rękaw (m, n, o, p, q, r)
Fig. 18. Mankiet (q, r, . +) ←→ ←→

Fig. 14a—18b. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju Fig. 14—18.

Fig. 18b. Krój marynarskiego kołnierza.

Fig. 19. Wskazanie kroju połowy sukni z draperyą *a* połowa przodu, *b* klin boczny, *c* połowa tylnego bryta, *d* połowa bryta draperyi

N. IV. Gorsecik do sukni ryc. 56 i 57 w N-rze 2.

Fig. 20. Przód (t, u) ═ × ═ × ═
Fig. 21. Boczek przedni (t, u, v, w) ∽∽∽

Fig. 19.

Fig. 22 Boczek tylny (v, w, x, y) ═ o ═ o
Fig. 23. Połowa pleców (x, y) — × — × —

N. V. Sukieneczka dla dziecka od lat 1—2. Rycina 37 i 40 w N-rze 1.

Fig. 24. Przód (1, 2, 5, 6, 7, 12, 13)
Fig. 25. Boczek (1, 2, 3, 4, 14)
Fig. 26. Połowa pleców (3, 4, 5, 6, 11) o o o o
Fig. 27. Rękaw (7, 8, 9, 10)
Fig. 28. Połowa kołnierzyka (11, 12) * * *
Fig. 29. Kieszeń (13, 14)

N. VI. Fartuszek dla dziewczynki lat 4—6. Rycina 36 i 41 w N rze 1.

Fig. 30. Połowa pierwszej części przodu (15—16) × • × • × •
Fig. 31. Druga część przodu (15, 16, 17, 18) — * — * —
Fig. 32. Połowa pleców (17—18) ▬▬▬

N. VII. Spódnica i tunika do sukni ryc. 41 i 44 w N-rze 2.

Fig. 33. Wskazanie kroju sukni *a* połowa przodu, *b* klin boczny, *c* bryt tylny.
Fig. 34. Wskazanie kroju połowy tuniki *a* połowa przodu, *b* klin boczny, *c* połowa tylnego bryta.

N. VIII. Tunika do sukni ryc 4 w N-rze 1 i ryc. 55 w N-rze 2.

Fig. 35. Wskazanie kroju tuniki *a* połowa przodu, *b* pierwszy bryt tylny, *c* drugi bryt tylny.

N. IX. Vêtement do sukni ryc. 12 i 58 w N-rze 2.

Fig. 36. Wskazanie kroju połowy vêtement *a* przód i boczek, *b* plecy.

N. X. Kapturek z chustki. Rycina 22—23 i 40 w N-rze 2.

Fig. 37. Wskazanie upięcia fałd.

Desenie do haftu.

Fig. 38. Gałązka do ryc. 30—31 w N-rze 2.
Fig. 39. Połowa wierzchu do szkatułki ryc. 14 w N-rze 1.
Fig. 40a i 40b. Desenie do ryc. 34.
Fig. 41. Czwarta część deseniu na ścieg sznureczkowy na poduszkę ryc. 38 w N-rze 2.
Fig. 42. Gałązka do ryc. 5, 17 i 18 w N-rze 1.
Fig. 43. Deseń do ryc. 7 w N-rze 51.







